

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 21 (1809) • 23–29 maja 2025



W poszukiwaniu
straconej idei str. 13



KOSZMAR
BRAUNA



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237
ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

Odbyła się pierwsza tury wyborów prezydenckich. Nie przyniosła dobrych wieści obecnej władzy. Ani szeroko rozumianym siłom postępu. Przewaga Trzaskowskiego nad Nawrockim mieści się w granicach błędu statystycznego, Mentzen – który miał już ponoć zatracać rozpęd – zdobył prawie 15 proc. głosów, a za nim, na czwartym miejscu, ulokował się Grzegorz Braun, od niedzieli znany jako „Sześć Boże” (zdobyl 6,34 proc.). Hołownia, Zandberg i Biejat dostali po mniej więcej tyle samo – poniżej 5 proc. – choć Hołownia musiał odczuć paradoksalną ulgę, bo w badaniu exit poll był dopiero szósty, a w oficjalnych wynikach awansował na prymusa klasy pięcioprocentowców. Magdalena Biejat pozostała (niewiele) w tyle za Adrianem Zandbergiem, co wskazuje, że antyestablishmentowa lewica przemawia do wyborców odrobinę bardziej niż lewica przytulona do władzy, choć generalnie obie są w dupie.

Inna ciekawa informacja jest taka, że gdyby o wyniku wyborów decydowali wyborcy przed trzydziestką, to w drugiej turze byłiby Mentzen z Zandbergiem, z – odpowiednio – 35 i 19 proc. Moja ulubiona wiadomość jest zaś taka, że gdyby decydowali uczniowie i studenci – czyli ludzie, których głównym życiowym zadaniem jest pozyskiwanie wiedzy – to ta sama czołowa dwójka byłaby nieomal łeb w łeb, (Mentzen o 1 pkt. procentowy więcej) i każdy z nich dostałby co czwarty głos. Nic z tego nie jest szczególnie dobrą wiadomością dla lewicy – ale fakt, iż otwartość na wiedzę wyrównuje szanse lewactwa i prawactwa, stanowi niejake światelko w tunelu.

Dodany wynik Mentzena i Brauna – ponad 21 proc. – stał się, niezaskakująco, źródłem lamentu mainstreamowego komentariatu. Jak to może być, że co piąty Polak głosuje na nazioi – załamywali ręce żurnaliści i eksperci, tyleż ci centrowi, co ci postępowi. Dla odmiany Karol Nawrocki i jego sztab rozpoczęli taniec godowy, opowiadając o wspólnym szacunku dla tradycyjnych wartości, patriotyzmu i niepodległości. Ten wynik ma jednak jeszcze innym wymiar: co piąty Polak zagłosował na kandydata formacji okrzykniętych przez inne „prorosyjskimi”. To oczywiście szeroko zakrojona ośbela, za którą kryją się różne postawy. Założenie, że chodzi o szczery pacyfizm, byłoby zapewne zbyt optymistyczne – zwłaszcza w kontekście entuzjastycznego stosunku do broni deklarowanego przez obu tych kandydatów – ale zaryzykujemy tezę, że chodzi o wyborców, którzy nie czują ani wymaganej miłości do Ukrainy, ani obowiązkowej nienawiści do Rosji i generalnie wojna ich nie interesuje. Zabawne jest to, że konstatacja ta nie pojawiła się po żadnej stronie zakochanego w militariach duopolu.

Przystawki zaprezentowały różne strategie przetrwania w cieniu hegemonia. Szymon Hołownia złożył hold lenny Rafałowi Trzaskowskiemu, zanim jeszcze wysechł atrament na kartach do głosowania. Władysław Kosiniak-Kamysz odczekał do dnia następnego i swój pokłon złożył u stóp Witosa – co skądinąd szczególnie oburzyło Karola Nawrockiego. „Wincenty Witos był świadkiem smutnego spektaklu, szef PSL poparł człowieka, który odpowiada za to, że ulice w Warszawie noszą nazwę Armii Ludowej” – tokował Nawrocki. W tym miejscu zapewne stosowne byłoby jakieś zdanie upominające szefa Instytutu Pamięci Narodowej w sprawie nie stosowności dzielenia żołnierskiej krwi – z klasą, z jaką czynił to gen. Jaruzelski. Atoli nikt w tygodniku „NIE” nie ma tyle klasy, co Wojciech Jaruzelski, więc napiszemy prosto: spierdalać, gnoj, ręce precz od żołnierzy AL!

W odróżnieniu od serwilistów z Trzeciej Drogi, tyleż Sławomir Mentzen, co Adrian Zandberg wykazali się zdrowym instynktem samozachowawczym. Zandberg orzekł, że wyborcy to nie „puchar przechodni”, a Mentzen – że nie „worek kartofli” i nie będą nikomu „przekazywać poparcia”. Po czym Mentzen przedstawił listę postulatów i wezwał uczestników drugiej tury, żeby przyszli do niego i na jego kanale na YouTube złożyli zobowiązanie, że nie podpiszą tego i owego. Kandydat Konfederacji rozgrywa to bardzo cwanie, choć można odnotować, że sytuacja, w której facet, który przegrał wybory, bo wyborcy nie wybrali go nawet do drugiej tury, wzywa przyszłego prezydenta Polski i każe mu się tłumaczyć przed kamerami – jest niejaki zachwianiem porządku.

Jeszcze gorzej wyszła Magdalena Biejat, która w wieczór wyborczy zapowiedziała, że chętnie spotka się z Trzaskowskim i „opowie mu, co jest ważne dla wyborców lewicy” – ale już nazajutrz dała się zapędzić do szeregu: „Tak jak mówiłam do tej pory, ja mam tylko jeden głos i ja ten głos oddam na Rafała Trzaskowskiego i do tego samego zachęcam”... Ten lekko frustrujący występ kandydatki Nowej Lewicy zatarła szczęśliwie przewodnicząca klubu NL, która uczestniczyła w posiedzeniu Krajowej Rady Sądownictwa z wanny. Co dało się zobaczyć na kamerze, albowiem posłanka Żukowska brała w posiedzeniu aktywny – choć zdalny – udział. „Cierpię na bóle kręgosłupa i po prostu czasem to jest jedyna rzecz, która mi pomaga” – wyjaśniła Żukowska w Tefalenie, szybko zrzucając winę na technikę: „Różne rzeczy się zdarzają, jeżeli chodzi o nagłe włączenie się kamer”; oraz na przepisy: „Regulamin KRS pozwala na pracę zdalną”. Diety za jeden dzień posiedzenia KRS wynoszą 1600 zł netto. Mamy dwa postulaty: wypierdolić Żukowską z rady i zmienić regulamin. Za półtora kafa dziennie można wywlec odwołki z wanny i zawlec na Rakowiecką.

Donald Tusk – zapewne w odpowiedzi na wezwania do nieprzekadzania Trzaskowskiemu w kampanii – wystąpił w sejmie i pod pretekstem dyskusji o przedłużeniu nielegalnego przepisu o nieprzyjmowaniu wniosków azylowych powiedział opozycji, co o niej myśli. „Dla was wszystko było politycznym złotem, a bardzo często zwykłym złotem, zwykłym brudnym interesem. Matkę byście sprzedali, nawet wtedy, kiedy chodzi o bezpieczeństwo własnej ojczyzny” – rzucił pod adresem PiS, po czym zrecznie ześlizgnął się w antyimigrancką retorykę w stylu zgola pisowskim. „Chyba nie chcielibyśmy, aby masowe grupy ludzi przybywały do Polski” – ogłosił. „Jeśli istnieje coś takiego jak zagrożenie konfliktem kulturowym, zaburzenie pewnych proporcji społecznych, to jest to związane z odmienną kulturą i często z odmienną religią” – mówił i jeszcze dodał, że państwo ma „dbać o to, żeby struktury społeczne, tradycje społeczne nie były naruszone poprzez gwałtowne napływy ludzi, szczególnie z tych terenów”. Uczciwie trzeba odnotować, że o pasażerach i pierwotniakach nie wspominał.

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Maj 2013 r.



Świętej Joanny d'Arc

Chwalić Boga jadę do Krakowa chwalić w Rynku stan wojenny. Nie mogę się go nachwalić, chociaż wznowienie nie wchodzi w rachubę. Wojska nie mają koksowników.

Świętego Rolanda

Złożył mi przyjacielską wizytę były sanitariusz pogotowia w roku 1983 maltretowany przez nas i skazany za niewinność, czyli za rzekome spowodowanie śmierci Grzegorza Przemyka, w istocie skatowanego w komisariacie MO. Mówił, że dzięki tym przejściom znalazł drogę do Boga i jest zakonnikiem. „Przepraszam, czy tu biją?” – chodzą po komisariatach i pytają zbląkami.

Świętego Matiasa

Mogę sobie wyobrazić, że jestem, kim nie jestem: np. oprawcą z SS w obozie zagłady, śledczym, który torturuje, zabójcą, pianistą, drwałem, donosicielem, pilotem, krwawym chirurgiem, Pol-Potem, krytykiem literackim, złodziejem, aktorem, kobietą, dzieckiem, katem, fizykiem, pedofilem, biznesmenem, podpalaczem, oficerem, rabusiem, Koreańczykiem, podlotkiem, fałszerzem itd. Natomiast nie mogę sobie wyobrazić, że wierzę w jakiegokolwiek boga.

Świętej Denise

Krótką historia mojego penisa (w społeczeniu chuja). Wpiew trudno go było uspokoić. Później uruchomić. Teraz znaleźć i wygrzebać, żeby umyć.

Świętego Denisa

Halo, federalny wywiad rosyjski? Mówi wasz ochotniczy przyjaciel Urban z Polski. Czy chcecie mieć pełny album fotografii funkcjonariuszy polskiego wywia-

du? Trzeba za łapówki załatwić pracę na jeden miesiąc Rosjanom w około 40 stacjach benzynowych firmy Statoil w Polsce. Chwilowi wasi współpracownicy nie muszą mówić po polsku ani mieć polskich dokumentów. To mogą być zwykli turyści po jednodniowym przeszkoleniu w łaniu benzyny. Muszą oni tylko kopiować te paliwowe karty identyfikacyjne, które są osobno numerowane i zabezpieczone jednym numerem PIN. Fotografować też użytkowników kart i ich samochody. Uwaga. Na kartach tych nie ma danych klienta. Cena rozpracowania polskiego wywiadu nie przekroczy 200 tys. zł, czyli 2 mln rubli.

Świętego Honoriusza

14 maja po wpół do dziewiątej wieczorem w programie Tomasza Sekielskiego „Po prostu” z całym propagandowym impetem przedstawiono sprawę śmierci Grzegorza Przemyka sprzed 30 lat. Maturzysta ten umarł w wyniku pobicia na milicji, a MSW spowodowało oskarżenie o tę śmierć ludzi z pogotowia ratunkowego. Władze PRL, w tym ja, słusznie zostały obwinione o matczenie. Będąc uczestnikiem programu Sekielskiego, wątpię jednak w moralne prawo telewizji publicznej do oskarżania aparatu PRL o propagandowe manipulacje. Powiedziałem w rzeczywistości: „Oszustwa Służby Bezpieczeństwa PRL sprowokowane były przez wredne kłamstwo opozycji, że my umyślnie mordujemy dzieci opozycjonistów, żeby zastraszyć opozycję”. I dodałem, że kiedy mówiłem jako rzecznik o sprawie, sam nie wierzyłem w winę pogotowia. Podano tylko dodatek, że nie wierzyłem w to, co mówiłem. Ale tego, co mówiłem 30 lat temu, też nie mogli przekazać, bo nie pasowałoby to do tezy o mojej kłamliwości.

Tak więc Sekielski to mój doby uczeń, ale od 30 lat siedzi w tej samej klasie.

Kiedy ekipa TVP przyjechała mnie nagrać, akurat był u mnie p. Wysocki, sanitariusz, który niewinnie siedział za Przemyka. Telewizji nie zainteresowało tak egzotyczne spotkanie.

Świętego Pascala

Kraków, ulica. Dzień szczytu wysze-radzkiego i turystycznego. Stoi pięciu napakowanych z odznakami patriotyzmu. Na mój widok: – Cześć Urban, stary Ży-dzie. Odpowiadam: – Witam panów faszystów. Uśmiechamy się do siebie i rozstajemy w przyjaźni jak faszysta z komunistą.

Świętego Eryka

Kraków, Rynek Główny. Sala balowa Muzeum Historycznego. Doroczne zebranie galowe sławnego klubu światłej lewicy „Kuźnica”. Tematem stan wojenny, Okrągły Stół i inne zeszloroczne śniegi. Dystygnowana profesura i inne emerytowane smoki podwawelskie. Średnia wieku 77 lat. Z „Kuźnicy” buchają iskry uwiadu starczego i zapalają gromnice. Przyszłości lewicy jest jej przeszłość.

Świętego Pendecote

Kraków, ul. Floriańska, noc. Daniszewska nie śpi. Przez okno z hotelu widzi dziewczynę, która siedzi na bruku i bezowocnie zebrze od wielu godzin. Daniszewska też się nudzi. Nuda to stymulator dobrego serca. Daniszewska bierze stowę i schodzi. Dziewczyna ma błędny wzrok, ale co do zębów, to ich już nie ma. Naćpana. Daniszewska się waha: – Mam dla pani stowę, ale boję się dać, że ona panią zabije. Oczywiście tym sumienie, Daniszewska rzuca stowę do pudełka, wraca do hotelu i gapi się przez okno. Do dziewczyny schodzi się kilka zjaw płci obojga. Daniszewska liczy przyszłe trupy z przedawkowania. Facet bierze stowę i wraca z żarciem dla wszystkich. W Krakowie pękają domy i stereotypy.

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Sławomir Mentzen** zaprosił kandydatów na debatę przed drugą turą do swojego kanału na YT. Drodzy kandydaci, w tym kanale nie ma małych kotków.
- W **mObywatelu** pojawi się możliwość sprawdzenia przyszłej emerytury. Także można cieszyć się od teraz.
- **USA** rozważają teleturniej dla imigrantów, w którym będzie można wygrać obywatelstwo. Imigrantki 18–20 lat będzie oceniał osobiście prezydent.
- **Dzielnica Wrocławia**, która najliczniej głosowała, otrzyma figurkę krasnala. Pewne jest to, że nikt z tej dzielnicy już nigdy nie zgłosuje.
- **Polacy przyznają**, że coraz częściej nie stać ich na udział w weselach i komuniach. Zawsze zostają pogrzeby.
- **Kaczyński** powiedział, że jest lepiej, niż było w planie. Dla równowagi, w drugiej turze niech będzie gorzej.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WATER

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Sukcesy rządowej lewicy

Z ogromnym rozbowieniem przeczytałem artykuł Piotra Gadzinowskiego pt. „Halo, tu mówi starość!”. Autor deklaruje głos na Magdalenę Biejat, ponieważ jest ona jego zdaniem „bardziej skuteczna od Adriana”. Jako wierny czytelnik „NIE” pragnę zapytać, czy pan redaktor może łaskawie przestać robić z nas idiotów? Wszyscy doskonale widzimy „sukcesy” rządowej lewicy, której twarzą jest pani Biejat. Brak ozusowania śmieciówek, nieudane zablokowanie obniżenia składki zdrowotnej, które pogryzłoby NFZ. O osobnikach takich jak Szejna, Trela, Gdula czy Wieczorek nie chcę się rozpisywać, żeby nie psuć sobie humoru. Jedyłą aktywnością, która mogłaby uratować honor Nowej Lewicy, byłoby wyjście z tego rządu (apelowała o to jakiś czas temu

rednacz Wolk-Łaniewska w artykule pt. „Pora wyjść”). Nowa Lewica sprzedawała naszą sprawę w zamian za stółki, których trzyma się pomimo ciągłych ataków ze strony liberalnych zwolenników rozmontowywania państwa. Głos na Biejat legitymizuje lewicę niezdolną do jakiegokolwiek podmiotowości w koalicji rządowej. Taka lewica nie ma racji bytu i zostanie prędzej czy później przystawką PO. Wyjście z rządu sprawiłoby, że Tusk musiałby zacząć liczyć się z lewicowymi postulatami i może nastąpiłaby jakaś proscjalna korekta obecnego kursu. Niestety, na coś takiego nie ma co liczyć, więc w 2027 r. będziemy z przerażeniem patrzeć na koalicję PiS-u z Konfederacją. A to wszystko dzięki tej lewicy „gotowej do kompromisów”.

Pozdrawiam
JAKUB G., BIELSKO-BIAŁA

Ile warta koalicja

Jak to dobrze, że część tych trzaskowskich 31,36 proc. nie głosowała najpierw według „głosu serca”, bo już w I turze mielibyśmy wygraną Nawrockiego. Dwoje kandydatów z koalicji, jeden razemek i wszyscy chcą poznać w plebiscycie, na jakie poparcie może liczyć ich partia. Tragedia. Niby koalicjanci, ale nie zawahali się ryzykować powrotu pisowskiej smuty. To brak rozsądku i szacunku dla Polski i nas, obywateli.

Pokazujcie, koalicjanci, ileście warci, w waszych wyszarpanych ministerstwach czy innych resortach, a nie ile mizernych procencików pozbiieracie. Tak jakby nie było najważniejsze, żeby PiS nie wrócił.

Pozdrawiam
MAGDA MILUSZ
(OD RAZU NA „MNIEJSZE ZŁO”)

Czy Tusk aby na pewno chce, żeby Trzaskowski został prezydentem?

Rozkaz premiera nr 227

„Właśnie zaczyna się gra o wszystko. Twarda walka o każdy głos. Te dwa tygodnie rozstrzygną o przyszłości naszej Ojczyzny. Dlatego ani kroku wstecz” ogłosił szef rządu w wyborczy wieczór. Donald Tusk skończył historię, więc powinien wiedzieć, jaka tradycja łączy się z wydawaniem przez Wodza rozkazu „Ani kroku wstecz” – ale na wszelki wypadek przypomnijmy.

Rozkaz Stalina nr 227 z 28 lipca 1942 r. – znany szerzej jako „Ni szagu nazad” – zakazywał oddziałom jakiegokolwiek odwrotu i powoływał do walki zaporowe, które szły za frontem i strzelały do wycofujących się radzieckich żołnierzy. I ta nieszczęśliwa metafora na tym się nie kończy. Jak trzy tygodnie temu pisał prof. Andrzej Werblan („NIE” 17/18 2025), „dopiero późną jesienią, gdy Niemcy podchodzili do Moskwy, Stalin pozwolił swoim generałom dowodzić wojną zgodnie z regułami sztuki; w razie potrzeby również cofać się. Szaleństwo się skończyło i Armia Czerwona zaczęła odnosić sukcesy”. Mam wrażenie, że tej lekcji Donald Tusk także nie odrobił. Żeby Trzaskowski mógł wygrać, rząd, który go obciąża, powinien dokonać strategicznego odwrotu na całej linii.

Zestawienie wyników kandydatów koalicji i opozycji (40 do 60); nieistotna statystycznie przewaga Trzaskowskiego nad Nawrockim, mimo sondaży wycenających ją na 5–10 punktów procentowych; 20 proc. głosów na nazioli – to wszystko powinno uświadomić władzy, do jakiego stopnia daje dupy. To jest moment, w którym szef rządu powinien powiedzieć wyborcom: słyszymy was, rozumiemy, zmienimy się. Poczynając od zmiany szefa rządu.

Nie jest to wyłącznie moja opinia – podobne sugestie pojawiają się ze strony wyraźnie prorządowego komentariatu.

– Mam wrażenie, że to po prostu klęska rządu – ocenił w poniedziałek Jacek Zakowski w TOK FM. – Wydaje mi się, że w takiej sytuacji i w normalnym demokratycznym kraju premier odchodzi.

– Ja uważam, że jakimś rozwiązaniem mogłaby być wymiana Donalda Tuska. Tylko że on nie jest na to gotowy – to z kolei wicenaczelny Onetu Andrzej Stankiewicz w TVN24.

Inni – jak np. prof. Antoni Dudek – nie byli aż tak odważni, ale zgodnie sugerowali, że Tusk powinien pokazywać się jak najmniej, żeby nie szkodzić Trzaskowskiemu.

W odpowiedzi premier dokonał wejścia smoka w sejmie.

Media skupiły się na dziwacznej szarży szefa rządu na opozycję („matkę byście sprzedali”). Ale prawdziwe szkody Tusk poczynił w merytorycznej części swego przemówienia otwierającego debatę na temat rządowego wniosku o przedłużenie zawieszenia prawa do azylu.

O tym, że systemowe uniemożliwianie uchodźcom występowania o azyl jest nielegalne, niemoralne i nieludzkie, mówili sejmowi prawnicy, rzecznik praw obywatelskich, organizacje humanitarne. Także lewica, która głosowała przeciw, kiedy w lutym premier taki przepis przeforsował. Wtedy wszyscy

zwolennicy Tuska i Platformy, którzy walczyli z PiS z pozycji moralnych zdefiniowanych w „Zielonej granicy”, uszli od swego idola: chuj wam w dupę. Teraz dołożył im jeszcze kawałek szkła.

Zawieszenie prawa do składania wniosków o azyl jest, w mojej opinii, aktem stricte propagandowym – że niby tacy twardziele jesteśmy w walce z nielegalną imigracją – ale nawet jeśli przyimiemy na chwilę, że ma merytoryczne uzasadnienie, można to zrobić na różne sposoby.



Można – będąc premierem rządu, który łamie prawo międzynarodowe i własną konstytucję – wyrazić choćby skrupowanie tym faktem. Że to jest trudna decyzja, że zdajemy sobie sprawę z problemów prawnych i moralnych, jakie za sobą pociąga, że ciągle uważamy uchodźców za ludzi, ale bezpieczeństwa Polaków, ble, ble, ble...

Ale można też świętować własne barbarzyństwo i znajdować w nim powód do dumy: „Wiele środowisk, które się identyfikowały ze mną politycznie, mówiły: jak możesz tak mówić, jak możesz występować przeciwko migrantom? A ja nie miałem żadnych wyrzutów sumienia. Nie miałem żadnych skrupułów” – tokował premier w sejmie w ostatni wtorek.

To ohydne, zalatujące ksenofobią wystąpienie Tuska mieści się w profilu dotychczasowej kampanii Trzaskowskiego, opartej na wyraźnym przeszu-

nięciu w prawo. Kompletnie odcięcie od postępowych poglądów, idiotyzmy z gatunku „podejdz do żołnierza i podkijęj mu za służbę” czy opowieści o tym, że prezydent Warszawy podpisał deklarację LGBTQ+, bo tak go nauczył ksiądz katecheta – obrażały nie tylko naszą wrażliwość, ale też i inteligencję. Ostatnio dostałam zajądów ze śmiechu, kiedy w utrzymanej w duchu „Opowiadań o Leninie” Zoszczenki książce „Rafał” przeczytałam, że ulubioną piosenką kandydata PO na prezydenta jest „Boże coś Polskę”. I nie, nie żartuję, tak powiedział.

Pod powierzchownym komizmem kryła się jednak strategia – która, moim zdaniem, zawiodła na całej linii.

Z jednej strony – jestem dziwnie przekonana, że swoim prawicowaniem (zauważyliście, że jest słowo „lewicujący”, a nie ma „prawicujący”?) Rafał Trzaskowski nie przekonał do siebie prawaków – za to generalnie przesunął scenę polityczną w prawo. Kiedy waga lidera sondaży wylądowała na prawej burcie, ta burta zanurzyła się na tyle głęboko, żeby z prawackiej otchłani przykleiła się do niej parka – co tu dużo mówić – nazioli. Nie posunę się do tego, żeby obciążać Trzaskowskiego odpowiedzialnością za Brauna – ale może jest tak, że skoro całe spektrum przesunęło się w prawo, to Braun przestał być na marginesie?

Z drugiej zaś – solidnie wkurwił lewicowych wyborców, którzy przestali dostrzegać w nim mniejsze zło, a zaczęli widzieć po prostu zło. Jeden z rzetelnych zazwyczaj badaczy postaw politycznych, prof. Przemysław Sadura, zapytany w Tefalenie, czy wyborcy lewicy nie zostaną w domu, odparł wykrętnie, że nie sądzi, bo już są zmotywowani, skoro poszli do pierwszej tury, to pójdą i do drugiej. No a na Nawrockiego nie zagłosują, więc z braku laku...

Myślę sobie, że histeryczne sejmowe wystąpienie Tuska z wtorku znacznie zwiększyło szanse na to, że lewicowcy jednak w domu zostaną. I zniwieczyło adresowane do nich wysiłki Trzaskowskiego z wieczoru wyborczego. Co więcej – nie sądzę, żeby to było przemysłane i zaplanowane. Sądzę, że premier był po prostu zły i dał tej złości upust, nie bacząc na konsekwencje.

Pamiętacie taką cokolwiek kontrowersyjną antypisowską akcję z wyborów 2007: „Uratuj Polskę, zabierz babci dowód”? Przed nami jeszcze tydzień kampanii. Czy ktoś mógłby zabrać dziadkowi mikrofon?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Zesrała się bida i szczeka

I co mianowicie PO ma do zaoferowania lewicowym wyborcom?

Mam graniczące z pewnością przypuszczenie, że uduszę się ze śmiechu, kiedy zobaczę, jak sztabowcy Nawrockiego i Trzaskowskiego zaczną bój o młodociany elektorat, który w pierwszej turze pozdrowił ich środkowym palcem. Może druga tura w formie wyborów paczkomatowych, żeby być bardziej trendy?

Oporna na wiedzę z zakresu marketingu wyborczego i politycznego Platforma Obywatelska rusza na żer w poszukiwaniu straconych głosów najmłodszych wyborców. Ekipa Donalda Tuska, z dziecięcą niezdolnością do krytycznego spojrzenia na siebie, celuje w hasła antyfaszystowskie. Nic dziwnego, liberalna inteligencja ma skłonności do lenistwa i poruszania się w jednym schemacie. Bez ekstremistów grozi im bieda, bo nie mieliby czym straszyć. Slogan „Polska brunatniej” przewija się przez wszystkie mainstreamowe media. W ślad za nim wierni kamraci platformianego środowiska z ekipy „Silnych Razem” biadola nad głupotą młodych wyborców, skundleniem intelektualnym ich rodziców i wieszczą, że wszyscy oni jeszcze zobaczą.

Druka pała demokracji walczącej pracuje nad skrzydłem wyborców lewicy. W grupie wiekowej 18–29 lat najwięcej głosów z lewej strony zdobyli kolejno: Adrian Zandberg (19,7 proc.), Magdalena Biejat (5,1 proc.) i Joanna Senyszyn (3,2 proc.) – łącznie całkiem solidne 28 proc. w stosunku do 36,1 proc. Mentzena, 12,2 proc. Trzaskowskiego i 10,5 proc. Nawrockiego. Mimo to w poniedziałkowy

powyborczy poranek tuz liberalnego intelektu Roman Giertych obwieścił światu: „Faktem jest totalna i absolutna klęska całej lewicy. Oni zajęli dużą część czasu antenowego TVN, a wynik w wyborach sejmowych oznaczałby zero mandatów poselskich. Kompletna dla nich katastrofa”. I dodał: „Nawrocki nie potrafił przekroczyć progę 30 proc. i nie ma skąd brać głosów. Głosy Mentzena to przede wszystkim ludzie młodzi, wśród których poparcie jest najniższe”. „Sądzę, że Nawrockiego młodzi ludzie, wrażliwi etycznie, jednak wykluczą” – prognozowała na łamach „Gazety Wyborczej” dr hab. Magdalena Mikołajczyk, politolog z Uniwersytetu Wrocławskiego. „Wyborcy Mentzena mają większą szansę spotkać swych rówieśników głosujących na Trzaskowskiego niż Nawrockiego. Generacyjnie Trzaskowskiemu więc łatwiej dotrzeć do wyborców Mentzena niż Nawrockiemu” zawyrokował w tej samej „Wyborczej” – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Jarosław Flis.

Kubek zimnej wody doprowadził do precedensu. Kiedy bezwzględna taktyka Tuska „miej ich w dupie, sami przyjdą ze strachu przed PiS-em” nie zaskoczyła, Trzaskowski, który przed I turą umizgiwał się wyłącznie do wyborców prawicy, w momencie ogłoszenia wyników przypomniał sobie na chwilę o postulatach lewicy. Pomimo tego cały libkowi komentarz, zamiast całować w rączki lewicowy elektorat, postawił na wyszarpywanie głosów fanów tiktokera na hulajnodze. I może się na tym przejechać.

Gdyby sztabowcy Rafała Trzaskowskiego wyjęli głowy z dup i przezwyciężyli hipochondryczną nienawiść do lewicy, może zobaczyliby, że gdy partie centrowe i liberalne przejmują język prawicy, jej elektorat skręca w radykalizm. Młodzi wyborcy Mentzena nigdy nie dadzą sobie zrobić laski przez PO, bo się brzydzą.

Po ogłoszeniu wyników pierwszej tury Magdalena Biejat w swoich wypowiedziach zaznaczyła, że nadszedł czas, by Trzaskowski uwzględnił postulaty lewicowych wyborców. Adrian Zandberg podkreślił, że jego wyborcy to nie puchar przechodni, który jeden polityk może oddać innym i będą głosować zgodnie ze swoimi wartościami. Obydwoje wiedzą, co czynią. To oni wraz z Joanną Senyszyn dotarli tam, gdzie nawet nie zajął Platforma Obywatelska – do rezerwuaru potencjalnych głosów starzejącego się elektoratu dwóch największych partii rządzących.

Ani PiS, ani PO nie pokusiły się na wystawienie oferty dla najmłodszych wyborców. Na początku kampanii spin doktorzy pupila Kaczyńskiego zabawili się w akcję „Młodzi za Nawrockim”, ale pomyśl tak słabo zassał, że prędko przestano poświęcać mu uwagę. Zamknięta w kryształowej wieży i zajęta autofellatio Platforma Obywatelska skupiła się na walce z prawicą i penach o demokrację, mając w pompie, że młodzież w kraju nad Wisłą nie żyje w serialu Tefalenu, a może kiedyś by chciała, i realnie szuka na ten problem remedium. W tym czasie Sławomir Mentzen wyjaśnił świeżemu elektoratowi, że winne temu stanowi rzeczy są Unia Europejska, podatki i szczepionki; a Zandberg, Biejat i Senyszyn cierpliwie pokazywali, że miejsce przy pańskim stole należy się każdemu, bo na tym, a nie na skubaniu najsłabszych, polega partycypacja państwa w życiu społecznym.

To politycy lewicy przeciągnęli najwięcej elektoratu Mentzena i wyborcy teje mają szansę uratować II turę dla Trzaskowskiego. Tymczasem establishment Platformy Obywatelskiej w szale powyborczej wściekły postawił na szantaż.

Władysław Frasyniuk napisał na platformie X: „Żadnych targów, żadnych interesików, wahan. Wszystkie ręce na pokład, druga tura dla Trzaskowskiego. Brak poparcia dla Rafała oznacza głos na nacjonalistów” – oznaczając Hołownię, Biejat, Senyszyn i partię Razem. Niezawodny w bucie Tomasz Lis wpierw

wypluł, że „Zandberg jest zawsze z PiS. Niemiecy komuniści też uważali, że socjaldemokraci to największy wróg niż naziści”, by po kilku godzinach zapłakać: „Zadanie dla sztabu Rafała Trzaskowskiego – zabiegać jednocześnie o elektorat Konfederacji i Lewicy. Diabiełnie trudne, ale nie niemożliwe”.

Trzaskowski, jeżdżąc metrem w bluzie z kapturem i czapce z daszkiem, będzie przekonywał młodych konfiarzy, że jest dobrym wujkiem, a Senyszyn, Biejat i Zandberg mają karnie uderzyć w kraj i przekonywać do głosowania na Trzaska. Czego nie rozumiesz, młody lewaku?

Skoro liberałowie lubią udzielać rad lewicy, ja dam jedną radę liberałom: niech Trzaskowski wymieni sztabowców i uciszy watahę, bo nacjonalizm, o którym ochoczo powarkują, naprawdę dojdzie na szczyt.

IDALIA DUBICKA

MÓZDZEK TYGODNIA

13 maja, „częściowo zdalne” (co to w ogóle znaczy?) posiedzenie Krajowej Rady Sądownictwa. Od listopada 2023 r. jej członkinią jest posłanka Anna Maria Żukowska, przewodnicząca klubu parlamentarnego Nowej Lewicy. Tego dnia bierze udział w posiedzeniu zdalnie. W pewnej chwili zniemacka włącza się kamera i okazuje się, że Żukowska łączy się z KRS z wanny.

Gdyby po tym, jak fragment tego wilgotnego połączenia wyciekł do mediów społecznościowych, Żukowska spuściła głowę i przeprosiła, nic wielkiego by się nie stało. Nigdzie przecież nie jest expressis verbis napisane, że podczas pracy zdalnej nie wolno znajdować się w kąpielni. Ale posłanka Nowej Lewicy zaczęła się tłumaczyć. Głupio! „Cierpię na ból kręgosłupa i po prostu czasem [kąpiel] to jest jedyna rzecz, która mi pomaga” – powiedziała w audycji TVN „Rozmowa Piaseckiego”.

Proszę posłanki, jeśli posłanka jest chora, to posłanka nie powinna iść do wanny, tylko do lekarza. Efekty pracy umysłowej dokonywanej przez posłankę w bólach neurologicznych mogą być przecież katastrofalne dla KRS, dla Lewicy, dla Polski.



Zrozumieć wynik Brauna

Dyskretny urok plemienności

Największym zaskoczeniem wyborów był zapewne wynik Grzegorza Brauna – znacząco lepszy niż Szymona Hołowni, Adriana Zandberga i Magdaleny Biejat. Zyskał dokładnie poparcie 1 mln 191 tys. 365 osób. Warto zrozumieć w sposób pogłębiony, co kierowało jego zwolennikami – to nasi sąsiedzi, wāsaci wujkowie, kierownicy taksówek, dziadkowie. Moim zdaniem najlepiej posłużyć się przy tym koncepcją retrotopii Zygmunta Bauman. Retrotopia to utopia wsteczna, tęsknota za niby lepszą przeszłością, która ma nam wskazywać, jak kształtować przyszłość.

Jednym z kluczowych elementów retrotopii jest powrót plemienności.

Tańczący z flagami

Jak pisze Bauman, „na terytorium zasiedlonym przez plemiona strony konfliktu unikają kontaktu i wstrzymują się od przekonywania innych do własnych racji, od szerzenia swych poglądów, od nawracania się nawzajem; członkowie wrogiego plemienia z konieczności zawsze już będą dźwigać brzemię niższości, którego nie uda im się wyzbyć, a przynajmniej tak należy ich stan postrzegać i zgodnie z tym ich traktować”.

Braun wie, że tylko mieczaki nienawidzą czarnych i brązowych. To, jego zdaniem, oczywiście konieczne, lecz zdecydowanie zbyt nieśmiałe. Należy nienawidzić Ukraińców, których w Polsce jest niemało. Na każdym kroku pokazywać im, że są tu niemiłe widziani, nękać ich i poniżać. Mówiąc wprost: mają oni się natychmiast spakować i wypierdalać do siebie. Braun na wiecu w Białej Podlaskiej zorganizował akcję, w ramach której jego asystent wspiął się na balkon ratusza, zjął ukraińską flagę i podał ją kandydatowi. Potem wetknął polską flagę. Braun podziękował mu uściskiem dłoni. Tłum wykrzykiwał: „Tu jest Polska”.

Nasi sąsiedzi zachodni też nie budzą entuzjazmu europośla. Dokładnie dwa lata temu nie dopuścił on do naukowego wykładu o Holokaulcie prof. Jana Grabowskiego w Niemieckim Instytucie Historycznym przy Al. Ujazdowskich w Warszawie. Braun bezceremonialnie wyrwał mikrofon naukowcowi i zaczął demolować głośnik, krzycząc: „dość tego!”. Zasłonił się immunitetem, odmawiając opuszczenia sali, mówiąc hardo: „Nie wyjdę, niech oni opuszczają Polskę”.

Braun w ogóle lubi niczym pies znaczyć swój teren, o czym świadczy kolejna akcja z flagą. 6 maja pojechał do Katowic pod gmach Ministerstwa Przemysłu. Zdjął wiszącą w budynku flagę unijną i najpierw ją podeptał, a potem zawiózł pod pomnik górników zabitych w kopalni „Wujek”, gdzie ją spalił.

Albowiem wszelkie, choćby ułomne, inicjatywy, które mają na celu dogadywanie się między narodami – jak UE – są zagrożeniem dla naszego plemienia. Unia to „system eurokołchozowy” i nigdy nie będzie niczym więcej. Pomysł, aby jakiegokolwiek decyzje dotyczące Polaków zapadały poza Polską, np. w Brukseli, to czystej wody herezja.

A propos herezji – nic tak nie scala plemienia jak religia.

Mój Bóg jest lepszy niż twój

Jak podkreśla Bauman, w nowym świecie plemion „spotkaniom antagonistów już nie przyświeca cel załagodzenia konfliktu, stają się one jedyne okazją do uzyskania lub stworzenia kolejnych dowodów na to, że wszelkie próby łagodzenia sporu nie mają już sensu i są wykluczone. By nie kusić losu i nie doprowadzić do nieszczęścia, członkowie wrogich plemion, poruszając się w zakłętym kręgu kategorii lepszy/gorszy, nie rozmawiają już ze sobą, lecz kierują słowa w bok, w pustą przestrzeń obok drugiej osoby”.

A cóż jest bardziej plemiennego niż totemy, miejscowe wierzenia, które odróżniają „nas” od „nich”. Religia katolicka – zabawny jest źródłosłów grecki tego pojęcia; słowo *katholikos* oznacza „powszechny” – w fundamentalistycznej odmianie narodowej to coś, co pozwala postawić żelbetonową barierę, wykluczającą ze wspólnoty wszystkich, którzy są inni, obcy, czyli gorsi. Może to i ludzie, lecz – jak by powiedział Prezes – ludzie gorszego sortu. Tacy, którym nie sposób zaufać, tacy, z którymi nie chcemy razem pokojowo koegzystować.

Przypomnijmy, że w grudniu 2023 r. Braun – jeszcze jako poseł Konfederacji – świece chanukowe (a przy okazji kobietę, która próbowała mu w tym przeszkodzić) potraktował w sejmie gaśnicą: nie

może być tak, aby w polskim parlamencie pojawiały się (choćby na krótko) symbole religii innej niż katolicka. Zarzucono mu znieważanie osób na tle religijnym, ale nie przejął się tym szczególnie.

Wyjaśnił swój postępek w sposób, przy którym mroki średniowiecza jawią się jako czas pełen miłości i tolerancji religijnej: „Przypisano mi tutaj pobudki rasistowskie, gdy tymczasem ja właśnie przywracam stan normalności i rów-

SZCZĘŚĆ
BOŻE!



nowagi, kładąc kres aktom satanistycznego, tal-mudycznego, rasistowskiego tryumfalizmu”.

Braun zapowiedział, że gdyby wygrał wybory prezydenckie, to zrobi wszystko, aby naczelny rabin polski Michael Schudrich i ambasador Izraela w Polsce Ja'akow Liwne, „czy inni antypolscy propagandziści, klamcy jedwabieńscy, manipulatorzy, fałszerze (...) szybko otrzymali nagłą zaproszenie na Okęcie, gdzie będzie już dla nich miejsce na pokładzie najbliższego samolotu, którym będą mogli odlecieć tam, skąd ich diabli do Polski przynieśli”.

Antysemityzm Brauna wpisuje się w wielowiekową tradycję chrześcijańskiej, europejskiej nienawiści do Żydów. Jak zaznacza Bauman w „Nowoczesności i Zagładzie”, „wykoncepowany Żyd był istotą o przesadnym ładunku semantycznym, zawierającą w sobie i łączącą znaczenia, które powinny występować osobno, dlatego też stał się wrogiem każdej mocy zajmującej się wytyczaniem granic i dbaniem o ich szczelność”.

Abstrahując od wszystkich, którzy „nam” zagrażają – Żydów, Ukraińców, Niemców – najgorsi są zdrajcy z własnego stada, którzy w sposób przebiegły próbują (niczym komórki rakowe, by posłużyć się niesławną, bo hitlerowską, metaforą) zniszczyć zdrową tkankę Narodu Polskiego. Rzecz jasna, zawsze pisanego wielką literą.

Zdrajczynie i zbroceńcy

W plemieniu role są ściśle podzielone, wiadomo, kto ma co robić, jak się zachowywać. Obowiązuje w nim jedenaste, ale jednak jakby pierwsze, przykazanie: nie wychylać się.

Kiedy w marcu na opolskim rynku stanęła wystawa z miejskich marszów równości, mająca pokazać, „jacy jesteśmy i że akceptacja różnorodności jest naturalną częścią życia w społeczeństwie” – Braun zamazał plansze ze zdjęciami czarnym sprayem, pisząc: „Stop propagandzie zbroceń”. Wezwał też policję, twierdząc, że wystawa jest „nieobyčajnym wybrykiem”. Akcję skomentował w charakterystycznym dla siebie stylu: „To jest propaganda zbroceń, propaganda dewiacji, to jest narażanie postronnych, w tym zwłaszcza nieletnich, co powinno budzić naszą troskę, na kontakt z przekazem, który jest fundamentalnie sprzeczny z dobrymi obyczajami”.

Niedoszły prezydent nie raz podkreślał, że są mężczyźni, kobiety i osoby z zaburzeniami. Sprzeciwiał się „tęczowemu ładowi”, tzw. promowaniu ideologii LGBT („precz z propagandą dewiacji”, „zbroceńcy nie mogą uczyć polskich dzieci”), nawoływał do osądzenia i wsadzenia do więzień lekarzy wykonujących operacje adaptacyjne w procesie korekty płci.

Jak wiadomo,

baba ma znać swoje miejsce. Jej naturalnym – danym wszak przez Boga – obowiązkiem jest bycie matką-Polką otoczoną gromadą rozwrzeszczanych bachorów, którym zmienia zasrane pieluchy. Wiadomo: im plemię liczniejsze, tym silniejsze,

mające większe poważanie u sąsiadów i w ogóle wszędzie. Ekstremizm katolicki wymaga bycia wojującym obrońcą „klasy najbardziej prześladowanych”, czyli tzw. dzieci poczętych. Skrobanki uniemożliwiają wszak osiągnięcie Polski 80-milionowej, o której fantazjował Prymas Tysiąclecia Stefan Wyszyński, widząc w niej marzenie o wielkiej (dosłownie!) Polsce.

Najobrzydliwszym wyskokiem Brauna było „obywatelskie zatrzymanie” ginekolożki Gizeli Jagielskiej, dokonane miesiąc temu w podwrocławskiej Oleśnicy. Jagielska w akcie miłosierdzia dokonała aborcji pacjentki z Łodzi, której zdrowie było zagrożone, a płód cierpiący na wrodzoną łamliwość kości czekało po urodzeniu wyłącznie długie i bolesne konanie.

Lekarka powiedziała agencji PAP, że Braun „wtargnął do działu administracyjnego, zagroził mi drogę z jakimiś nieznany mi ludźmi i zamknął w pomieszczeniu administracyjnym, nie pozwalając mi wykonywać obowiązku lekarza przez ponad godzinę”. Potem kandydat na prezydenta popychał ją i szarpał. Jagielska stała się obiektem kampanii nienawiści i grożono jej śmiercią. Ale kandydat skrajnej prawicy zapunktował u tych, u których miał zapunktować...

Tak naprawdę powyższy tekst jest mimo wszystko rozpaczliwą próbą zrozumienia źródeł sukcesu Brauna, który jest niewątpliwie. Ten niebezpieczny człowiek może jeszcze sporo namieszać w polskiej polityce, kierując ją na tory klerofaszyzmu!

KATARZYNA KOENIG

Kupą przeciw ciemnogrodowi!

Refleksje po pierwszej turze

Z zaskoczeniem i niepokojem przyjęliśmy gwałtowne przyspieszenie w tej turze szans wyborczych Karola Nawrockiego w stosunku do Rafała Trzaskowskiego i ogólny wzrost szans prawicy, łącznie z sukcesem Grzegorza Brauna – skrajnego antysemitę i ksenofoba. Tuziny mądrali pospieszyły z radami dla Trzaskowskiego: jak odwrócić niekorzystny trend i zapobiec nieszczęściu, czyli klęsce obozu demokratycznego. Zgłoszono wiele pomysłów słuszných i rad trafnych. Ale kochane mądrale wydają się nie pamiętać o najważniejszym. O geografii politycznej i jej konsekwencjach.

Polska od wielu dziesięcioleci jest podzielona politycznie. Na wschód – gdzie dominują konserwatyzm i nacjonalizm, miejscami skrajny; są tam mateczniki typowo polskiego ciemnogrodu. I na zachód oraz wybrzeże Bałtyku i większe miasta – gdzie zdecydowanie przeważa nastroj demokratyczny, liberalny i proeuropejski. Ten podział utrzymał się do dziś, choć z pewną korzystną korektą. Trzaskowski wygrał w 10 województwach (i wszystkich z wyjątkiem jednego wielkich miastach), Nawrocki zaś w 6 województwach. A przecież bywało, że PiS górowało w 10, a nawet 11. Niestety w całym regionie dominacji pisowskiej frekwencja była wyższa – miejscami nawet znacznie – od frekwencji w regionie przewagi Trzaskowskiego.

Sprawa zasługuje na odrębny komentarz. Znaczenie frekwencji w wyborach parlamentarnych i samorządowych jest inne niż w wyborach prezydenckich.

W wyborach do sejmu frekwencja ma decydujące znaczenie jedynie na wstępnym etapie, w walce o przekroczenie bariery pięcioprocentowej; powyżej tej granicy waga frekwencji maleje. Wybory są ogólnokrajowe, ale odbywają się praktycznie zupełnie niezależnie w 41 okręgach. W każdym z nich głosy po zliczeniu są dzielone według systemu d'Hondta między listy, którym przydziela się odpowiednią część przypadających na okręg mandatów. Mechanizm jest taki sam, niezależnie od tego, czy głosowało 40 czy 60 proc. uprawnionych. Wóalor każdego mandatu będzie identyczny, wyższa frekwencja w jednym regionie nie spowoduje żadnej jego przewagi w mandatach nad innymi.

Inaczej jest w wyborach prezydenckich. Tu Polska cała jest de facto jednym okręgiem: głosujemy na tych samych kandydatów i na Podkarpaciu, i w Wielkopolsce. W tych wyborach może się zdarzyć, że kandydat, który uzyskał przewagę w większości okręgów, przegra z kontrkandydatem, który zdobył mniej okręgów, ale za to z wyższą frekwencją, co w sumie dało mu więcej głosów. Wybory z 18 maja to taki właśnie przypadek.

PiS wybrało zręczną taktykę wyborczą, zrezygnowało z walki o głosy tam, gdzie historycznie nie miało szans sukcesu, skupiło się na konserwatywnych i reakcyjnych matecznikach swych wpływów, budując tam nie tylko lokalny sukces wyborczy Nawrockiego, lecz – dzięki wysokiej frekwencji – zwiększając znacznie jego szanse w rywalizacji krajowej. W konsekwencji prawie zrównał się on z Trzaskowskim, wygrywającym w większej liczbie okręgów, w których jednak do głosowania poszedł mniejszy odsetek wyborców.

Paradoksalnie rzecz biorąc, największa rezerwa, jaką w tej sytuacji dysponuje oboz Trzaskowskiego, kryje się w tej niższej fre-

kwencji w 10 województwach, które na niego głosowały. Wystarczy ją zwiększyć w drugiej turze – aby zwyciężyć w całym kraju.

Wymaga to jednak otwartej i poważnej rozmowy z tamtejszym społeczeństwem.

Trzeba tym ludziom wyjaśnić, dlaczego powinni nie tylko ponownie poprzeć Trzaskowskiego, lecz – zwiększając frekwencję – zrobić to większą liczbą głosów. Trzeba, nie owijając w bawelnę, uświadomić im, że

nad krajem zawisło wielkie niebezpieczeństwo: zwycięstwo zorganizowanej przez PiS kontrofensywy ciemnogrodu i umieszczenie na urzędzie prezydenta gorszego i niebezpieczniejszego wariantu Andrzeja Dudy

(wg opinii profesora Antoniego Dudka z uniwersytetu KSW), groziłoby destrukcją demokratycznego ładu, załamaniem proeuropejskiej i prozachodniej linii politycznej. Klęską nie jedynie PO, lecz Polski jako takiej. Są powody, aby bić na alarm i wzywać do obrotu kraju przed taką perspektywą, do mobilizacji i masowego głosowania. Niewielką dziś przewagę Trzaskowskiego trzeba nie tylko utrzymać, lecz zwiększyć o kilka procent. Powstrzymanie i odparcie ciemnogrodu to dziś historyczny obowiązek całego obozu demokratycznego, wobec którego inne sprawy ten oboz dzielące tracą znaczenie.

M.Z.

Czy czas już zmienić konstytucję?

Za dwie dychy

GADMAN

W starych demokracjach Europy mamy dwa wzorcowe modele zarządzania państwem. W Niemczech realna władza należy do premiera, zwanego tam kanclerzem. Wybranego w powszechnych wyborach parlamentarnych spośród przywódców konkurujących wtedy partii.

Prezydent RFN pełni przede wszystkim funkcje reprezentacyjne. Wybierany jest przez parlamentarzyków. Wybranych wcześniej w wyborach do parlamentu państwa i do parlamentów regionalnych landów. Dzięki temu nie ma w RFN dodatkowych powszechnych wyborów na prezydenta. Niemcy potrafią publiczną kasę liczyć.

Prezydentów nie wybiera się też w Belgii, Danii, Hiszpanii, Holandii, Norwegii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Monako, Luksemburgu i Liechtensteinie. Bo tam głowami państwa są dziedziczni królowie lub książęta. To też daje oszczędności na cyklicznych wyborach prezydenckich.

Dodatkowo skandynawscy monarchowie bywają tańsi w utrzymaniu od wielu wybieranych na świecie prezydentów, choćby na Filipinach.

Prezydentów nie wybiera się też w Watykanie, bo tam kardynałowie wybierają papieża spośród siebie. A Andorą rządzi wspólnie, jako współksiężęta, prezydent Francji i biskup hiszpańskiej diecezji Urgel.

Podobny model zarządzania przyjęto w polskiej partii Nowa Lewica.

We Francji realną, iście królewską władzę, ma wybierany w powszechnych wyborach prezydent. Premier jest jego podwykonawcą. Jednak francuski prezydent zawsze musi liczyć się z francuskim parlamentem, też wybieranym w wyborach powszechnych. Często ograniczającym jego władzę.

Ni pies, ni wydra

W III Rzeczypospolitej realnie rządzi premier. Ale posiadający formalnie mniej władzy prezydent może mu utrudniać, a czasem sparaliżować rządy.

Premierem w III RP może zostać każdy polityk, którego partia przekroczy pięcioprocentowy próg wyborczy. O tym, kto staje na czele rządu, decyduje bowiem koalicja posiadająca większość w sejmie. Zatem polski premier nie musi mieć poparcia większości obywateli III RP, aby nimi rządzić.

Warto przypomnieć, że mieliśmy premiera Marka Belkę, który nie był polskim parlamentarzystą. Nie poddawał się żadnej politycznej weryfikacji przez obywateli III RP. Pomimo tego został w maju 2004 r. zaprzyszczony przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego na premiera i rządził do października 2005 r.

Bo ówczesny sejm podzielił się na ugrupowania niezdołne do stworzenia większościowej koalicji rządzącej. Zainteresowanych wtedy politycznym lansowaniem się i dotrwaniami do końca kadencji sejmiku, która upływała w październiku 2005 r.

W przeciwieństwie do premiera każdy polski prezydent musi być wybrany w wyborach powszechnych. Musi zyskać co najmniej 50 proc. oddanych głosów plus jeden. Dlatego ma bardzo silny mandat społeczny. Zwykle silniejszy niż urzędujący w czasie jego kadencji prezes Rady Ministrów. Pomimo takiego poparcia obywatelskiego prezydent ma w konstytucji pozycję słabszą niż szef rządu.

Wedle obowiązującej ustawy zasadniczej prezydent powinien współpracować z premierem. Podpisywać uchwalone przez parlament – czyli koalicję rządzącą – ustawy. Zgadzać się na proponowane przez premiera nominacje ambasadorskie, generalskie, profesorskie, sędziowskie. Zwłaszcza kiedy premier akceptuje proponowane przez prezydenta kandydatury na podobne stanowiska.

Jednak taki prezydent zwykle zyskuje w opinii publicznej pogardliwe miano „długopisu premiera” i „strażnika pałacowego żyrandola”.

Hola, hola!

Ale prezydent może – też zgodnie z konstytucją – walczyć politycznie z premierem i jego większością parlamentarną. Może blokować nominacje premiera, wstrzymując się z ich podpisywaniem. Może odmówić akceptacji przysłanych mu ustaw. Opóźnić ich działanie poprzez odsłanie pod osąd Trybunału Konstytucyjnego. Czasem wyrok Trybunału zmusza sejm do zmiany ustawy.

Jednak najsilniejszą bronią prezydenta jest weto.

Sejm zwykle przyjmuje ustawy zwykłą większością głosów; te 231 głosów poparcia przeważnie wystarcza. Ale do

odrzucenia prezydenckiego weta rządząca koalicja musi mieć przynajmniej 276 głosów. Tytu często nie udaje się zebrać.

Posiadający łatkę „wetownika” prezydent Andrzej Duda zawetował sześć ustaw w czasie rządów wrogiej mu Koalicji Październikowej. Więcej nie miał okazji, bo Koalicja postanowiła go przeczekać i nie uchwałała ustaw godnych jego weta.

Warto przypomnieć, że prezydent Duda zawetował też 13 ustaw, kiedy współrządził z prawicą z nadania pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Wtedy jego weta były efektem walk frakcyjnych w Zjednoczonej Prawicy. Rekordzistą wetowania w III RP jest prezydent Lech Wałęsa. W czasie kohabitacji z premierami Waldemarem Pawlakiem i Józefem Oleksym zawetował 27 przesłanych mu ustaw. Nie hamował się, bo obowiązywała go jeszcze uchwalona w 1992 r. mała konstytucja, wprowadzająca „półprezydencki” model rządów.

Jego następcy działali już wedle konstytucji z 1997 r. Czynnikiem silnym dzięki prawu weta, inicjatywie ustawodawczej, pozycji zwierzchnika sił zbrojnych i współnominiującego na liczne stanowiska i posady.

I jednocześnie czyniącej go słabym, bo prezydent nie ma wpływu na budżet państwa, a także na realne, a nie symboliczne wymiary polityki obronnej i zagranicznej. W tych sferach więcej może blokować niż kreować.

Wedle tej konstytucji idealny prezydent powinien kohabitować, czyli współpracować z premierem i koalicją rządzącą. Wspierać rząd, kiedy działa on na rzecz państwa polskiego i dobra wszystkich jego obywateli.

Ale kiedy premier i jego zaplecze polityczne zapragną państwo polskie zdominować programowo, ideowo, finansowo i personalnie, wtedy w prezydencie musi obudzić się Pierwszy Obywatel.

Powinien stanąć naprzeciw chciwego premiera i zakrzyknąć publicznie: „Hola, hola panie premierze! Niech pan nie idzie tą drogą! Nie pozwalam! Non possumus!”.

Dziecko Stołu

Takie relacje premier–prezydent to efekt konstytucji napisanej przez

polityków-inteligentów. Dawnej „demokratycznej opozycji” skupionej potem w Unii Wolności Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka oraz „patriotycznych oportunistów” skupionych w dawnym SLD Aleksandra Kwaśniewskiego, Józefa Oleksego, Ryszarda Kalisza. Ci politycy wcześniej dogadali się i zawarli porozumienie Okrągłego Stołu.

Bo wszyscy oni wtedy wierzyli, a przynajmniej publicznie to głosili, w politykę opartą na racjonalnych, nawet szlachetnych, przesłankach. Nie wstydzili się polityki kompromisów, sojuszków ponad partiami, mozołnych konsultacji.

Wierzyli w anielski wymiar polityki. Zresztą ta konstytucja jest efektem takiego ponadpartyjnego kompromisu.

Zapisany w niej system ograniczania władzy premiera przez prezydenta i prezydenta przez premiera, sprawdzał się w praktyce, kiedy prezydentem był Aleksander Kwaśniewski. Jeden z architektów porozumienia Okrągłego Stołu, przewodniczący Komisji Konstytucyjnej, niekwestionowany lider SLD.

Niestety, kiedy Kwaśniewski skończył swą kadencję, Unia Wolności już

politycznie zmarginalizowała się, była postrzegana jako „Mumia Wolności”. Sojusz Lewicy Demokratycznej rozpadł się na frakcje. W sejmie anielscy, inteligentcy politycy byli wypychani przez cynicznych, populistycznych, diabolicznych entuzjastów zdobywania i sprawowania niekontrolowanej władzy.

Kolejny prezydent, Lech Kaczyński, pełniąc swój mandat, wykonywał zadania powierzone mu przez brata Jarosława. Lidera rządzącego z tylnego siedzenia, bez konstytucyjnych uprawnień. I bez konstytucyjnej odpowiedzialności.

Kolejni prezydenci, Bronisław Komorowski i Andrzej Duda, nie byli liderami politycznymi swych ugrupowań. Wykonywali zadania swych liderów.

Nie byli też Pierwszymi Obywatelami dbającymi przede wszystkim o dobro państwa polskiego i jego obywateli, czasem wbrew partyjnym i rządowym interesom. Zostawali podwykonawcami swych politycznych liderów.

I dlatego dziś warto zadać pytanie, czy pisana w 1997 r. „anielska” konstytucja jest kompatybilna do obecnego diabelskiego stylu uprawiania polskiej polityki?

Jeden z polskich tabloidów obliczył, że tegoroczne wybory prezydenckie będą kosztować przynajmniej 620 mln zł. Na każdego potencjalnego wyborcę to jakieś 20 zł. Niewiele.

Ale potem ten prezydencki wybraniec może spowodować kolosalne straty dla państwa polskiego i jego obywateli.

Pierwszego czerwca obywatele RP będą wybierać między „zulem a bonżurem”. O tym więcej napiszę za tydzień.

PIOTR GADZINOWSKI



Rys. OBYWATEL JANEK

Trzaskowski, który przez większość kampanii kokietował wyborców Mentzena, musi teraz wziąć głęboki oddech i zacząć zabiegać o głosy lewicowego elektoratu. Dlatego już obiecuje budowę tanich mieszkań pod wynajem. Ale kiedy chcieliśmy o tym z nim i jego warszawską ekipą porozmawiać na Radzie Warszawy, wypełnił galerię swymi urzędnikami i ogłoszono, że dla nas, którzy pomysł specjalnej sesji poświęconej lokatorom zainicjowaliśmy, miejsca już nie było. Zamiast dialogu napotkaliśmy zwarte oddziały straży miejskiej. Co by się nie działo, nie ufaj liberałom, zwłaszcza jeżeli pamiętamy, jakie wielkie kwoty deweloperzy wpłacili na kampanię Rafała.

Prezydent Warszawy, chcąc pozyskać głosy skrajnej prawicy, z każdym dniem kampanii robił się coraz bardziej brunatny, a coraz mniej liberalny. Stąd pomysły, by odjąć od ust dzieciom ukraińskich uchodźców, czy entuzjastyczne poparcie dla zniesienia prawa do azylu. Udział w wyścigu z Mentzenem, kto bardziej nie lubi Ukraińców, chwały mu nie przyniósł. A teraz dodatkowy kłopot polega na tym, że trzeba przestawić wajchę na walkę z grożącym nam faszyzmem.

Co ciekawe, Rafał Trzaskowski, który tak biegle włada językami, Europejczyk pełną gębą, jakoś niezbyt często mówił w kampanii o nielubianej przez prawicę Unii Europejskiej.

Wiarygodność obozu władzy w tej dziedzinie jest znikoma – skoro już dziś stawia przed sądem obrońców praw człowieka z grupy Granica czy młodzież z Ostatniego Pokolenia protestującą w obronie klimatu.

Młodzi idą Razem

Kluczowe pytanie na 1 czerwca: kogo bardziej nie znosisz?

Z tego, co wiem, młodzież głosująca na Razem – które swą kampanię prowadziło w kontrze do rządu Tuska – nie zaczęło raptem masowo głosować na kandydata tego obozu. I żadnej zachęty do głosowania w drugiej turze ze strony Zandberga nie należy się spodziewać. Wprawdzie Hołownia zganił lidera Razem, że nie wszedł do rządu, by – jak się wyraził – „zmieniać świat”, ale sam za to „zmienianie” słono zapłacił. Z punktu widzenia lewicy było to raczej zmienianie świata na gorsze.

Trzaskowski płaci nie tylko za własne błędy – z których nie najmniejszym jest beznadziejne zarządzanie stolicą – ale i za brak popularności rządu Tuska. Są nawet tacy, którzy uważają, że w interesie kandydata rządowego najlepiej do końca kampanii premiera schować gdzieś, gdzie nikt go nie zobaczy. Donald jednak widocznie się z tym nie zgadza, bo ruszył na odsiecz Trzaskowskiemu, co może się okazać niedźwiedzią przysługą.

Magdalena Biejat próbuje coś za poparcie w drugiej turze utargować, ale to nie ma sensu. Bo elektorat byłego SLD tak się garnie do Trza-

skowskiego i PO, że nikt go nie powstrzyma przed głosowaniem na włodarza stolicy.

Hołownia, chcąc nie chcąc, musi Trzaskowskiego poprzeć, choć wcale nie jest pewne, że jego cały pięcioprocentowy elektorat go usłucha. Zwłaszcza że wiecznie obrotowa partia PSL – widząc, że zaplecze rządu grozi niewieście do następnego sejmiku – może wykonać kolejną woltę.

Skoro okazuje się, że murowany zwycięzca tych wyborów może równie dobrze je przetrząść, przyjrzyjmy się szansom jego adwersarza. Nawrocki – nawet jeśli będzie pierwszy na mecie – to z pewnością nie tyle wygra, co Trzaskowski przegra. Gdy się go słucha, wyraźnie widać, że bliżej mu do szowinistycznej Konfederacji niż socjalnego chwilami PiS-u. Myślałem, że błady i pozbawiony wyrazu jest Andrzej Duda, ale Karol Nawrocki to gość, którego o wiele trudniej odróżnić od ściany. I choć pozbył się już gorącego kartofla w postaci wyludzonej od starych kawalerki, to wciąż bardziej robi wrażenie łobuza niż męża stanu.

Tyle że jego zadanie w drugiej turze będzie o wiele łatwiejsze. Wystarczy, że będzie sobą,

a kierujący się ultrapravicowymi przekonaniami wyborcy Konfederacji, a nawet Brauna go poprą. Dla tych drugich może wtrąci coś niezbyt pochlebnego o Żydach, żeby zawyli z zachwyty. Gdyby wyborcy Mentzena kierowali się względami ściśle programowymi, to bliżej im by było do PO, bo to partia neoliberalna, a Mentzen jest turboliberal. Ale w wyborach kluczową rolę odgrywają względy ideologiczne – takie jak szowinizm, niechęć do Ukraińców, UE i Niemców.

Bierzemy więc udział w grze pod tytułem „kogo bardziej nie lubisz?”.

Rozważałbym zagłosowanie „na mniejsze zło”, czyli liberała, a nie nacjonalistę, gdyby Trzaskowski nie przyłączył się do ksenofobicznego chóru. A tak „wart Pac pałaca”, zostając w domu. Nie głosuję w drugiej turze, bo żaden z nich nie jest warty mojego głosu.

Problemem nie jest to, kto wygra; sukces Trzaskowskiego nie zmienia faktu, że właśnie się okazało, że mamy w Polsce 6 proc. nazioli.

I tego żaden ostateczny wynik wyborczy nie odmieni. Swoje nadzieje pokładam w młodym pokoleniu, które na szczęście zaczyna iść w lewo. Bo to nie Tusk, Sikorski i Trzaskowski powstrzymają faszyzm, tylko młodzi, którzy idą Razem.

PIOTR IKONOWICZ

SŁOWO CZERWONE

Czyje kamienice?

A mogło być tak pięknie...

Losy kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 66 omawiano podczas sesji Rady m.st. Warszawy, która odbyła się w środę 14 maja. Wzięły w niej udział stowarzyszenia lokatorskie i pracownicze: Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów imienia Jolanty Brzeskiej, Ruch Sprawiedliwości Społecznej, Inicjatywa Pracownicza. Wysłuchano eksperta WSL, który omówił temat zapaści budownictwa komunalnego. Potem prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski wypowiedział się na temat zahamowania rozwoju warszawskiego budownictwa komunalnego, wytłumaczył, dlaczego od 2018 r. spada udział mieszkań komunalnych wobec ogólnego zasobu nieruchomości. Trzaskowski wyjaśnił również, dlaczego decyzja w sprawie prywatyzacji odbyła się bez konsultacji na forum rady miasta lub komisji do spraw rozwoju gospodarczego i mieszkalnictwa, przybliżył radnym oraz mieszkańcom skalę reprivatyzacji miasta od 2018 r. oraz opowiedział o pracach rewitalizacyjnych, które przeszedł dotychczas budynek przy Marszałkowskiej 66. W efekcie rada miasta, po zapoznaniu się z całą wymaganą dokumentacją, zajęła stanowisko w sprawie wycofania zarządzenia dotyczącego prywatyzacji kamienicy przy Marszałkowskiej oraz przeprowadzenia konsultacji społecznych w sprawie wyprzedaży zasobu mieszkań komunalnych...

Żartuję. Nic takiego się nie wydarzyło.

To znaczy owszem, rada miasta została zwołana, a środowiska lokatorskie się na niej pojawiły. Cała reszta jednak to proponowany porządek posiedzenia rady autorstwa Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów – który możemy znaleźć w BIP-ie. Prawda na temat całego wydarzenia prezentuje się niestety o wiele mniej kolorowo. Radni z Platformy Obywatelskiej tłumnie zjawili się w ratuszu – na tyle tłumnie, aby uwiarogodnić pretekst pełnej sali obrad, pod którym nie wpuszczono choćby delegacji z Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, Piotra Ikonowicza czy kogokolwiek innego, komu pomysł

wyprzedaży miejskiej kamienicy nie przypadł do gustu (w tym niżej podpisanej). Straż miejska posłusznie zabarykadowała wejście, wskutek czego doszło do przepychanki – niektórzy z funkcjonariuszy chyba się za bardzo wczuli w rolę obrońców demokracji, bo ręce jednego z nich znalazły się na szyi jednego z członków Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów. Kiedy w przedśionku toczyły się boje, warszawscy radni szybko i sprawnie przegłosowali wniosek o przeniesienie obrad na 4 czerwca – i tyle było z całej zabawy. Do 4 czerwca po mieszkaniach komunalnych na Marszałkowskiej 66 najpewniej nie będzie śladu (kamienica już jest wystawiona na sprzedaż), a Rafał Trzaskowski – na to przynajmniej liczą warszawscy radni – nie będzie już prezydentem miasta stołecznego. Wniosek o przełożenie obrad zgłosił przewodniczący klubu warszawskiej Platformy Obywatelskiej Jarosław Szostakowski, niekiedy znany z nieudanej próby prywatyzacji budynku gimnazjum na Twardej 8 w 2014 r., za prezydentury Hanny Gronkiewicz-Waltz. Ratusz przyznał wówczas prawo do wieczystego użytkowania Maciejowi M. znanemu jako „handlarz roszczeń”. W efekcie dochodzenia miasto opamiętało się w porę i obecnie Twarda, po odpowiednim dofinansowaniu, służy jako placówka dla dzieci słabosłyszących.

Mimo że o sesji rady miasta zrobiło się głośno, bo mediów zleciało się wyjątkowo sporo, i to od prawej do lewej, to BIP o posiedzeniu z 14 maja niemalże milczy. Proponowany porządek obrad, jaki możemy znaleźć w Biuletynie, to niemalże słowo w słowo propozycja wysunięta przez Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów. Ale jeśli chodzi o faktyczne wydarzenia z 14 maja, a nie mrzonki, na próżno szukać stenogramu czy też nagrań (bo jak tu wrzucić nagranie, na którym słychać skandowane „Koniec eksmisji, Trzaskowski do dymisji!”). Jest to o tyle zabawne, że materiały audiowizualne dokumentujące „dantejskie sceny” – bo tak określi-



ło omawiane wydarzenia w nagłówkach kilka znanych redakcji – są powszechnie dostępne w necie. Udawanie, że nic się nie stało, jest dla miasta dodatkowo kompromitujące.

Mówiąc całkowicie szczerze, brak reakcji ze strony warszawskiej Platformy Obywatelskiej może być lepszym z możliwych scenariuszy – doskonale jestem w stanie wyobrazić sobie poten-

cjalną linię obrony. Najlepszą obroną jest wszak atak, a standardową procedurą w takich sytuacjach stało się atakowanie lewicowców i oskarżanie ich o windowanie popularności prawicy. Wystarczy przypomnieć gromy, jakie posypały się na głowę Janka Śpiewaka, gdy ten miał czelność nagłośnić walki, które odchodziły w ratuszu w trakcie kadencji Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Amunicja w tym wypadku byłaby wyborna, bo w Pałacu Kultury pojawili się w śróde postowie Prawa i Sprawiedliwości: Piotr Gliński oraz Sebastian Kaleta. Ten drugi nawet wyszedł na mównicę i nie chciał dopuścić do wniosku o przerwę. Prawdopodobnie więc skończyłoby się na tym, iż członkom WSL, Czerwonych, Inicjatywy Pracowniczej i RSS-u oberwałoby się za fakt, iż wstawili się za nimi prawicowi posłowie.

Bo w końcu jeżeli PiS coś popiera, to dlatego, iż dokonuje zamachu na uwielbianą przez Platformę demokrację. A nie dlatego, że nawet prawica wyjątkowo widzi, iż dany pomysł jest wybitnie kretyński. Taktyka oblężonej twierdzy dalej ma się doskonale.

„Centrum miasta też ma być dla ludzi, śródmieście się wyludnia. Nie możemy mieszkań komunalnych i na tani wynajem budować tylko na obrzeżach miasta, bo to nie spowoduje dobrego rozwoju tkanki miejskiej. Musimy je budować także w centrum. Czyli, po pierwsze, nie wolno sprzedawać gruntów – a Warszawa ciągle te grunty sprzedaje, nawet w tej kadencji, przeciwko czemu Lewica protestuje”... Mądre słowa, prawda?

Tak się składa, że ich autorką jest szefowa miejskiej komisji do spraw mieszkalnictwa Karolina Ziolo-Pużuk. Od stycznia sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Osoba, która jako jedyna z Lewicy wstrzymała się 14 maja w głosowaniu za przełożeniem obrad rady miasta. Chciałabym dodać tu jakiś błyskotliwy przytyk o wycieraniu sobie przez parlamentarną lewicę mordy frazesami o zrównoważonej polityce mieszkaniowej i dobrobycie mieszkańców Warszawy, ale pozwolę sobie po prostu zacytować warszawsko-częstochowską raperkę Susk: „myślałam, co tu wstawić do wersu, ale nie mogę. No po prostu ja pierdole”.

ANTONINA STEFFEN

Piątunio na Zbawixie

Już wiem, jak to jest znać Elvisa

Znacie tę infantylną (moja matka powiedziałaby: snobistyczną) satysfakcję, kiedy ktoś Wam mówi, że marzy o poznaniu kogoś, kogo Wy dobrze znacie? Ten kretyński moment pławienia się w glorii cudzej chwały, w której – tak dla porządku – nie macie żadnego udziału, ale to jednak miła myśl? Przez parę piątkowych godzin na Placu Zbawiciela czułam się, jakbym była po imieniu z Elvisem. Albo z Janem Pawłem II.

Jasne: czytałam dużo o tym, jakim fenomenem internetowym stała się Joanna Senyszyn. Tak że w „NIE”. Idalia Dubicka pisała o tym w tekście rozpoczętym błuźnierczo: „Pamiętacie hasło «Urban Jerzy król młodzi»? To już nieaktualne. Królowa jest tylko jedna”. Ale – powiedzmy sobie szczerze – nie znam młodzi, a sama w ogóle nigdy nie byłam młodzieżą, stara się urodziłam. Nie zdawałam sobie sprawy ze skali namiętności.

Joanna też nie, między nami mówiąc.

Pomysł był prosty: po wschodniej stronie Placu Zbawiciela – zwanego przez millennialów i hipsterów Zbawixem – pod niezwykle popularnym w tych kręgach bistro Charlotte, w piątek o piątej po południu kandydatka Senyszyn chciała się ostatni raz przed ciszą wyborczą spotkać z wyborcami. Nawet mówiłyśmy o tym w „Dialogach dam”, acz główny front przetoczył się oczywiście przez socjale, gdzie prof. Senyszyn, siedząc przy złotym stole w swoim ekstrawagancko eleganckim mieszkaniu, wykwinie nalewając sobie herbatę z designerskiego imbryka, serdecznie zaprosiła „na herbatkę ze mną”. I obudziła potwora.

Dotarłam na Plac Zbawiciela kwadrans przed piątą – i okazało się, że przejścia nie ma. Tłum zajął cały chodnik między Mokotowską a Aleją

Wyzwolenia (że też dr Nawrocki jeszcze nam nie zabrał tej nazwy). Liczni policjanci ochraniający imprezę pytali, „czy na wiec”, i w razie odpowiedzi odmownej kazali zaiwaniać naokoło. Ale większość mówiła „tak”.

Funkcjusz wiadomego resortu z minionych czasów powiedział mi kiedyś, że w tłumie liczy się średnio cztery osoby na metr kwadratowy. Ten kawałek chodnika pod Charlottą ma plus minus 500 m kw., co dawałoby 2 tys. osób. W jednym momencie. Ale momentów było 6,5 godziny.

Tak jakoś na pięć minut przed piątą tłum zaczął skandować stanowczo: „Chcemy Senyszyn”. Oraz – a jakże – „Imperatorka”. Potem była krótka konferencja prasowa, po czym media poszły w pizdu i Królowa została sam na sam z setkami poddanych i Darthem Vaderem.

Słowo honoru, nie zmyślam: dziewczęta (tak, specjalnie nawiązując do Gombrowicza), którym udało się zdobyć selfie z Joanną Senyszyn, a już zwłaszcza filmik z dwoma zdaniem pozdrowień dla nieobecnych ukochanych, wypadały z gęstniejącego z każdą minutą tłumy i robiły coś, co wcześniej widziałam tylko na archiwalnych filmach z koncertów Elvisa: wydawały z siebie świrdujący pisk, podskakując jednocześnie. Co prawda towarzyszyła temu z zasady lista dialogowa raczej niekojarząca się z latami 60. ubiegłego wieku, typu: „O zesz kurwa, ja pierdole, zobacz, co mam” – ale młodzieżyco entuzjazm był absolutnie szczerzy i totalnie pozbawiony cynizmu.

Fale pielgrzymów do stóp Imperatorki nadpływały nieprzerwanie – kwadrans po jedenastej wieczorem, kiedy szef sztabu Piotr Bakun zarządził koniec imprezy, w kolejce stało jeszcze kilkadziesiąt osób, które załapały się na pożegnalną rolę



(dla niewtajemniczonych: krótki filmik, który w socjalmediach odtworza się w pętli).

W środku imprezy, tak gdzieś koło dziewiętnastej obstawa profesorowcy próbowała wyrwać ją na chwilę z objęć tłumy.

– Nie macie ochoty na przerwę? – zapytała Joanna przez mikrofon.

– Niiieeeee!!! – odpowiedział zgodnie tłum.

– Życzenie moich poddanych jest dla mnie rozkazem – odparła Imperatorka.

Owacja przechodząca w awiację.

Po kolejnej godzinie, kiedy zrobiło się już ciemno i zimno, sztab jednak uparł się, żeby zapewnić kandydatce kwadrans przerwy. Obiecała

do mikrofonu, że wróci za 15 minut. Uczciwie powiadziawszy, byłam raczej pewna, że po tym kwadransie tłum się rozejdzie.

Zgęstniał.

– Myślałam, że pójdą – powiedziałam do Joanny, nie kryjąc zdziwienia.

– Oni wiedzą, że ja mówię prawdę. Skoro powiedziałam, że wrócę, to wiedzieli, że wrócę – odparła rezolutnie.

Joanna Senyszyn dostała w wyborach 214 198 głosów – 1,09 proc. W ogóle mnie to nie zdziwiło. Tak na oko 90 proc. samozwańczych poddanych Imperatorki, którzy stawili się na Zbawixie, nie ma jeszcze prawa głosu.

Jednak lekceważenie jej fenomenu byłoby krótkowzroczne. Dla doskonałej większości tych nastolatków był to pierwszy świadomy – więcej: angażujący – kontakt z polityką. Joanna trafiła do nich oczywiście humorem, dystansem do siebie, gestami i koralami – ale, jak słyszałam od wielu młodych ludzi na Placu Zbawiciela, także tym, że „chce być matką wszystkich Polaków”. Że jest zaprzeczeniem polaryzacji i nie uprawia agresji. I, paradoksalnie, tym, że jest prawdziwym profesorem, bo młodzi ludzie może nie szukają „autorytetów” jako takich, ale wiedzą, czym różni się pani profesorka z liceum od profesora uniwersytetu.

To był cudny wieczór.

No i znam Elvisa.

AWŁ

Sypie się akt oskarżenia w sprawie wolontariuszy niosących pomoc migrantom na pograniczu polsko-białoruskim. Ale to jeszcze nie koniec znęcania się nad ludźmi z sercem.

Prokuratura Okręgowa w Białymstoku – nadrzędna wobec tej rejonowej z Hajnówki, która oskarża – w przeddzień kolejnej rozprawy, 14 maja, opublikowała na stronie internetowej dwa dokumenty. Pierwszy to wniosek o odroczenie tejże rozprawy, który nie został przez sąd uwzględniony i proces toczył się dalej.

Prokuraturze na przychylności sądu w tym wymiarze bardzo zależało. Bo jak czytamy w udostępnionym publicznie wniosku: „Ujawnienie nowych dowodów pochodzących z telefonu oskarżonej Kamili M. marki Huawei P20 koloru złotego, w postaci screenów wiadomości oraz nagrań głosowych przekazywanych za pomocą komunikatorów internetowych, a dotyczących organizacji nielegalnego przekraczania granicy, rodzi uzasadnione przekonanie, iż przeprowadzenie analogicznych badań przez Biuro Badań Kryminalistycznych Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego wobec telefonów komórkowych wskazanych w części wstępnej wniosku może przyczynić się do uzyskania nowego i istotnego materiału dowodowego potwierdzającego zaangażowanie w równym stopniu wszystkich oskarżonych w organizację nielegalnego przekraczania granicy i ich związku z organizatorem działającym poza terytorium państwa polskiego”.

Chodzi o to, że dwa lata temu hajnowska Prokuratura Rejonowa, na potrzeby lubelskiego śledztwa dotyczącego przemytników migrantów, udostępniła tamtejszemu wydziałowi ds. przestępczości zorganizowanej Prokuratury Krajowej telefon jednej z oskarżonych w swoim śledztwie, gdyż jej nazwisko „przechodziło” w kontaktach z przestępcami. Biegli z ABW wygenerowali potem z tego telefonu dialogi z półświatkiem i to one – w postaci screenów mających wzmacnić odrzucony przez sąd wniosek – również opublikowała okręgówka. Według prokuratorce Magdaleny Rutyny czas najwyższy znaleźć identyczne dowody zbrodni także w pozostałych telefonach zabezpieczonych na potrzeby śledztwa.

Tyle że – jak skomentował na Facebooku Kamil Syller, prawnik z Werstoka, który tak samo jak oskarżeni niósł pomoc migrantom – te screeny świadczą wyłącznie na korzyść Kamili M.: „Procesowo – jest to miałki, niemal bezuży-

Prokuratura w desperacji

Proces Piątki z Hajnówki cd.



teczny materiał dowodowy. Nie ma tam mowy o konkretnych czynach. »Ona« (Kamila) może coś zrobić. Może załatwi, może porozmawia, może przewieźć, może zapłaci. Tak wynika z opublikowanych wiadomości. Czasem nawet nie wiadomo, o kogo dokładnie chodzi. To kapiszon, na który poszły nasze podatnicze pieniądze. Najmocniejsze są w tym

materiale opisy nadane poszczególnym wiadomościom przez prokuraturę. To semantyczne fikołki i interpretacyjne wysiłki, aby wykreować z informacji coś, czego nie ma albo jest w ilościach śladowych. Przykre i gorszące” – dowodzi Syller.

„Moralnie – to jest petarda. Czytałem z rosnącą dumą i poruszeniem.

Najmocniejsza chyba rzecz to powzięty przez Kamilę zamiar bezpośredniego, osobistego spotkania się z przemytnikami, kurierami. Wspomina o tym kilkakrotnie ktoś z grona cudzoziemców, autor wpisów. Ta dziewczyna postanowiła spotkać się z osobami obiektywnie niebezpiecznymi, gotowymi na wiele dla zdobycia pieniędzy, będącymi – jak donosiły media – albo członkami mafii kaukaskiej, albo osobami z nią współpracującymi. Postanowiła spotkać się, żeby PROSIĆ o dobre traktowanie przewożonych osób. Prosić o niewyzyskiwanie ich, nieoszukiwanie, traktowanie jak ludzi. Autor wiadomości wspomina o grożącym jej niebezpieczeństwie i o tym, że Kamila uspokajała go, że może nie się jej nie stanie, bo spotkanie odbyłoby się w domu jej znajomych (jakby to miało być jakąkolwiek gwarancją bezpieczeństwa...). Ten desperacki dowód na skrajną dobroć i działanie w imię humanitarnych ideałów najwyższej próby prokuratura oceniła jako dowód na posiadanie przez Kamilę »wpływu na działanie« kurierów.

Bezbronna osoba, która jest gotowa poświęcić swoje bezpieczeństwo dla próby zapewnienia bezpieczeństwa innym ludziom, jest zrównana w działaniu z przestępcami działającymi dla zysku. Nie do uwierzenia.

Nie do zapomnienia”...

Na rozprawie 14 maja sąd w formie telekonferencji przesłuchał przebywające w Niemczech dwie Kurdyjki, którym pomagała Piątka. Kobiety prawie nic nie pamiętały z dramatycznych wydarzeń z marca 2022 r. Okazało się przy tym, że ich mąż i ojciec, który organizował im i sobie wyprawę do „europejskiego raj”, niedawno zmarł.

– To kluczowy moment w tym procesie – mówi nam osoba z okolic resortu

sprawiedliwości. – Sąd to prawdopodobnie uwzględni na korzyść oskarżonych, bo kluczowy świadek w tej sprawie przecież nie żyje. Ale co najciekawsze, prokuratura zorientowała się, że wobec faktu, iż osoby, którym Piątka pomogła, są już za granicą, sypie się w proch akt oskarżenia oparty na artyku 264 a. Kodeksu karnego, mówiący o „ułatwianiu pobytu na terytorium Polski wbrew przepisom”. Tych osób w kraju nie ma. Artykuł 264 Kodeksu karnego mówi o pomocnictwie w przemyśle, grozi za to nie pięć, jak w pierwszym przypadku, ale osiem lat pudła, więc rejonówka w tym widzi swoją ostatnią szansę.

– To już trzecia rozprawa, a wy wciąż przybywacie ze wsparciem. To naprawdę niesamowite, że w środku tygodnia tak wielu z was zostawiło swoje obowiązki i przyjechało tu, do Białegostoku – mówiła jedna z oskarżonych, Ewa Moroz-Keczyńska, przed wejściem do sądu. – Nie wiem, jak dałabym radę bez Was, bo dzisiaj wcale nie jest łatwiej niż było miesiąc temu czy na pierwszej rozprawie w styczniu. To dla mnie ogromny stres.

Moroz-Karczyńska dodała, że prokuratura zmieniła zdanie w sprawie utajnienia rozprawy.

– My od początku chcieliśmy jawności na sali sądowej. To prokuratura domagała się utajnienia, a teraz sama publikuje jakieś niesprecyzowane wycinki z innej sprawy, które nie mają z nami nic wspólnego. To jest przywilej prokuratury: mówić publicznie o tym, co nie zostało ujawnione na sali rozpraw. My tego przywileju nie mamy. Dlatego my idziemy na salę rozpraw. I tam, przy świadkach, będziemy o tym mówić. Reakcja pani prokurator jest taka może dlatego, że akt oskarżenia, który trafił do sądu, wywołał taką silną reakcję, że dostaliśmy tyle wsparcia: od was, od znanych postaci życia publicznego, od autorytetów prawnych, a ostatnio, choć nie wprost, nawet od biskupa Zadarki z rady Konferencji Episkopatu Polski ds. migracji i uchodźców, który również podkreśla, że pomoc humanitarna nie może być kryminalizowana. Choć ja sama jestem wyznania prawosławnego, to cieszę się, że to chrześcijańskie przesłanie wybrzmiewa ze strony katolickich duchownych. To ważne. Bo w takich chwilach nie chodzi o różnice, tylko o wspólne człowieczeństwo.

Kolejną rozprawę w tej sprawie sędzia Adam Rodakowski wyznaczył na 25 czerwca i być może wtedy zamknie przewód sądowy.

JAN MIKOŁAJ PAR

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Miasto Gdańsk wesprze 10 mln zł Mada Global Fund for Income Opportunities – fundusz inwestycyjny ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich mający siedzibę w Dubaju. Aktywa 800 mln dol. Jak nazwa wskazuje, fundusz zajmuje się inwestowaniem petrodolarów w intratne przedsięwzięcia. Jednym z nich miał być pierwszoligowy klub piłkarski Lechia Gdańsk, który stał się własnością dubajczyków. Fundusz zalega wobec piłkarzy i pracowników Lechii z wypłatami na kwotę 3,7 mln zł (stan na początek roku). Grozi to klubowi utratą licencji PZPN – bo wiarygodność już dawno została pogrzebana. Z prostego rachunku wynika: 10 mln minus 3,7 mln daje 6,3 mln zł. I niech teraz ktoś powie, że ci muzulmanie nie mają głowy do geszeftów.

■ Pędzący Mercedes GLS 580 4Matic, symbol luksusu i statusu, zamienił się w śmiertelną pułapkę na warszawskim Moście Północnym. Zjazd z wiaduktu, utrata przyczepności, uderzenie w znaki, słup, boczne zderzenie z Volvo, odłamki raniące Renault – sekwencja zdarzeń niczym z hollywoodzkiego filmu katastroficznego, tyle że bez happy endu. W roztrząskanym SUV-ie życie stracili 40-letni kierowca i jego 35-letnia partnerka. Nowy nabytek, odebrany z salonu tego samego dnia, miał być początkiem lepszego życia. Gdy ich trzyletnia córka zasnęła, wybrali się na krótką przejażdżkę. Kilometr od domu spotkała ich śmierć. Ironia losu? A może po prostu kolejny dowód

na to, że życie jest krótkie, kruche i nieprzewidywalne, nawet jeśli jeździsz Mercedeseem za niemal milion złotych.

■ Barbara P., policjantka z wydziału dochodzeniowo-ślędczego Komendy Powiatowej Policji w Ropczycach, wezwwała kolegów z pracy do swojego domu, gdzie jej mąż został brutalnie zamordowany uderzeniem ostrego narzędzia w okolicę klatki piersiowej. Niestety, do dziś nie wiadomo, kto zabił. Sama funkcjonariuszka zapewnia, że to nie ona, ale śledczy mają inne zdanie. Sprawę ma rozstrzygnąć sąd. Zanim do tego dojdzie, już rozpoczęto procedurę wydalenia kobiety ze służby. A to sugeruje, że coś jest na rzeczy. Refleksja? Człowiek żeni się z policjantką, bo myśli o bezpieczeństwie – swoim i rodziny. A potem budzi się martwy we własnym mieszkaniu.

■ Po wysłaniu przez Rządowe Centrum Bezpieczeństwa 52 mln SMS-ów o treści: „Uwaga! Child Alert! Zaginęła 11-letnia dziewczynka, lekko kręcone brązowe włosy, 158 cm wzrostu” (zapewne również to otrzymałaś) Patrycja ze Strzelec Opolskich została odnaleziona w Żorach. 52 mln SMS-ów po 1 gr to ponad pół miliona złotych. Koszty tej rządowej akcji ponoszą operatorzy sieci komórkowych – zgodnie z przepisami. Całe szczęście, że – jak się okazuje – dziewczynka najprawdopodobniej padła ofiarą załatów pedofila. Bo gdyby nie, to znowu proporcja środków do celu wyglądałaby raczej absurdalnie. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że sprawa nie zostanie później umorzona, bo wtedy byłoby naprawdę głupio.

■ Jeśli chodzi o pedofilów, to na witrynie – gdzie sprytni gracze handlują tym, co im się nie należy, czyli domenami internetowymi z drugiej ręki – niejaki „Handler” (ksywa)

oferuje domenę „pedofil.pl” za 6150 zł brutto (5000 zł netto), bo jak wiadomo, nawet od pedofila płaci się podatek VAT, czyli 23 proc. Trudno jednoznacznie ocenić zainteresowanie tą „ofertą”. Oscyluje wokół 30 chętnych miesięcznie. Jakies 360 osób rocznie. Dużo to czy mało, jak na 38-milionowe społeczeństwo? Trudno powiedzieć. Ale niesmak pozostaje.

■ Kwartalnik „Archiwum Medycyny Sądowej i Kryminologii”, wydawany przez Polskie Towarzystwo Medycyny Sądowej i Kryminologii, w artykule „Przemoc kobiet wobec mężczyzn” zaprezentował wyniki badań dotyczących przemocy ze względu na płeć, w której ofiarami byli mężczyźni. Okazuje się, że skala przemocy wobec mężczyzn jest znacząca – aż 34 proc. badanych doświadczyło przemocy psychicznej ze strony partnerki, 1 proc. – fizycznej, a 0,5 proc. – seksualnej. Prywatnie najbardziej interesuje mnie ta przemoc seksualna, bo szczerze mówiąc, nigdy się z nią nie zetknąłem.

■ We Wrocławiu grasuje opluwacz – ostrzegają się mieszkanki miasta. Schemat działania mężczyzny jest zawsze taki sam: podejżdża rowerem do przypadkowej kobiety, pluje jej prosto w twarz, po czym natychmiast ucieka. Poszkodowanych jest już ponad 50 pań. Nie jest to pierwszy przypadek, kiedy mieszkanki Wrocławia są atakowane w nietypowy sposób. Przypomnę, że jakiś czas temu – o czym już pisałem w tej rubryce – miasto terroryzował tzw. bekacz. Jegomość podchodził do kobiet w tramwajach, wyzywał je, groził, a na koniec bekał w twarz. Biorąc pod uwagę ten specyficzny folklor Wrocławia, można się spodziewać, że następnym

będzie bakopuszczacz. O nim też napiszę – i dowiecie się pierwsi. Aha. Opluwacz wciąż pozostaje nieuchwytny.

■ W Szczecinie rozegrał się dramat na miarę giełdowego krachu. Funkcjonariusze Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami skonfiskowali nieszczęśliwie aż 16 kotów rasy maine coon. Jeden taki futrzak to od 3 do nawet 7 tys. zł. Mnożąc to przez 16, wychodzi całkiem przyzwoity portfel inwestycyjny. Koty były wychudzone, z zaniedbaną sierścią i wyraźnymi ob-



jawami chorób. Głodne, spragnione i nie miały gdzie się wysrać. Właścicielowi postawiono zarzut znęcania się nad kotami, za co grozi do trzech lat pterdla. Kotom – jak zapewniono – nic już nie grozi, bo zostały objęte opieką specjalistów. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

■ „Kurier Szczeciński” podał również, że policjanci z wydziału ds. walki z korupcją i przestępczością gospodarczą wspólnie z funkcjonariuszami Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Kiczarowie, powiatowym inspektorem weterynarii oraz powiatowym lekarzem weterynarii odebrali właścicielowi psa (takie zwierzę w trybie administracyjnym – a co potwierdziła st. sierż. Adrianna Szczerba z Komendy Powiatowej Policji w Stargardzie. Powodem interwencji było zagrożenie przez tego psa kota należącego do innej osoby. Mimo tragicznego skutku zaangażowanie tylu instytucji i funkcjonariuszy w odwieczny konflikt między kotami a psami wydaje się nam jednak poważnym nadużyciem władzy, a w zasadzie marnotrawieniem jej potencjału na sprawy trzeciorzędne.

■ Były naczelnik Urzędu Miasta w Siemianowicach Śląskich został zatrzymany za współpracę z jedną z największych mafii śmieciowych w Polsce. W zamian za łapówki wydawał pozytywne decyzje administracyjne i pomagał w przygotowywaniu dokumentacji związanej z utylizacją i składowaniem odpadów. Grozi mu do 10 lat więzienia. Śledztwo nadzorowane przez prokuraturę w Katowicach ujawniło ponad 50 legalnych składowisk odpadów, które byłyby nielegalne, gdyby owych łapówek nie było. Oczywiście jest pytanie, czy ta kupowana dokumentacja była przygotowana prawidłowo, no bo jeżeli tak, no to z tą tylko rzekomą korupcją nie dajemy prokuratorom dużych szans przed sądem, a i może się okazać, że słowo „mafia” narusza czyjes dobrą osobiste.

RJ
PS Przedstawione informacje pochodzą z mediów lokalnych oraz portali internetowych, które deklarują charakter miejski lub stołeczny. Ze względu na brak możliwości niezależnej weryfikacji tych danych nie możemy ponosić odpowiedzialności za ich zgodność z rzeczywistością.

Kampania wyborcza kolejny raz udowodniła, że jak polityk nie kłamie, to znaczy, że umarł. Ale łgarstwo nie jest domeną tylko tej grupy. Ba, nie jest też przypisane ruskim trollom, które – jak przekonuje nas rząd – sączą swoje nieprawdy na wszystkie możliwe sposoby. Kłamstwem – zarówno bezwiednie, jak i z pełną premedytacją – posługują się medialni eksperci, naukowcy i oczywiście dziennikarze. Niektóre z tych kłamstw są powtarzane tak długo, że większość z nas przyjmuje je za prawdę. Skoro medialne kampanie nakazujące czujność wobec informacyjnych zagrożeń o najczęściej wciskanych nam kitach nie wspominają, to pora wypełnić tę lukę.

Brutalna nieprawda

Na pytanie, ile zarabia, każda normalna osoba odpowie – jak będzie chciała – wymieniając kwotę, którą dostaje na rękę. Szukający roboty pracownik rozmawia z ewentualnym pracodawcą też o kasie na rękę. Jak w telewizji na temat swoich wynagrodzeń wypowiadają się pielęgniarzki czy nauczycielki, to też mówią o tym, co wpływa na ich konto.

Bo nikt nie zarabia kwoty brutto. Ale w mediach, statystyce i pogadankach polityków wszyscy szermują takim właśnie nic nieznającym zaklęciem.

Mityczna kwota brutto to bowiem szmal na rękę powiększony o podatek PIT i składki zusowskie. Te dwie ostatnie pozycje to niemal 30 proc. mitycznych zarobków i mogą co najwyżej interesować księgowę. Przeciętny pracownik zarabiający 9 tys. zł brutto dostaje na rękę niecałe 6 500 zł. Ale w porównaniach międzynarodowych nadal operuje się kwotą brutto. Tyle że w wielu krajach, np. w Irlandii, Austrii czy Estonii, nie płaci się podatku od płacy minimalnej, a w Polsce – jak najbardziej. Porównania polskiego brutto z europejskim netto to porównywanie

O tym, które z często powtarzanych kłamstw stały się prawdą Kit nasz powszedni

konia z konikiem morskim. Przeciętny Polak dostaje na konto 72 proc. swojego brutto, a taki Belg – 89 proc.

Milioner ze średnim wynagrodzeniem

To klasyk – dane o średnim wynagrodzeniu GUS służą głównie temu, żeby ludzi szlag trafiał. W 2025 r. GUS podaje, że średnie wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw przekracza momentami 9 tys. zł brutto, a już za chwilę, już za momentami przeskoczy 10 tys. zł. Brzmi nieźle – ale tylko dla tych, którzy nie wiedzą, że statystyka obejmuje wyłącznie firmy zatrudniające powyżej dziewięciu osób. Odpadają więc drobne działalności, które stanowią ponad 90 proc. wszystkich firm w Polsce. Nie są też uwzględniani samozatrudnieni, pracownicy sektora publicznego, nauczyciele, służby mundurowe ani urzędnicy. Średnia jest bowiem obliczana tylko dla sektora przedsiębiorstw. Czyli energetyki, górnictwa, banków, firm ubezpieczeniowych i przemysłu. Co więcej, jest ona liczona z pominięciem skrajnie niskich zarobków – za to z pełnym uwzględnieniem premii i bonusów dla kadry zarządzającej. Innymi słowy: średnia zarobków liczy się dla górki, więc większość z nas czuje się przez nią zdołowana.

Emerytura spod mostu

Na stronie ZUS czytamy dziś: „Od marca 2025 najniższa gwarantowana emerytura wynosi 1878,91 zł brutto”.



RYS. MIROSŁAW HAJNOS

Tylko że to prawda warunkowa. Żeby dostać „najniższą gwarantowaną”, trzeba, jak się jest kobietą, przez 20 lat opłacać składki, a jak mężczyzną to przez 25 lat. Kto pracował na czarno, na umowę o dzieło albo nie miał ciągłości składowej, dostaje znacznie mniej. W styczniu najniższa wypłacona eme-

rytura wynosiła 5 gr. A jeśli ktoś całe życie przepracował na śmieciówkach bez ubezpieczenia, może nie dostać nic. Minimalna emerytura jest tylko dla tych, którzy byli w systemie wystarczająco długo – pozostałym, których liczba idzie w setki tysięcy, zostają modlitwa, renta socjalna albo opieka społeczna.

Zatręsienie przedsiębiorczyń

W ostatnich latach aktywność biznesowa kobiet w Polsce wzrosła aż o 36 proc. I jest ona największa spośród 74 przebadanych państw.

Udział kobiet wśród prowadzących jednoosobowe firmy w Polsce jest nader wysoki – 34 proc. Ponad połowa z tych firm to księgowość, sprzątanie, kosmetyka. Czyli segmenty, w które kobiety były wypychane z etatów. Przymus samozatrudnienia to nie triumf przedsiębiorczości, tylko sposób korporacji na cięcie kosztów.

Dziś wiele z tych kobiet, w świetle nowego systemu składek zdrowotnych, ledwo wiąże koniec z końcem. Ubezpieczenia podnoszone co roku, brak zleceń w sezonie, podatki płacone bez względu na dochód – oto obraz „najbardziej przedsiębiorczej grupy w Europie”.

To wszystko z Brukseli jest

Od 2004 r. Polska otrzymała z UE już ponad ćwierć biliona euro. To za nie są budowane drogi, metro, tramwaje oraz tory kolejowe. Jak mantrę powtarza się to, że właśnie dzięki „brukselce” kwitnie polska wieś, a przedsiębiorcy mają kasę na innowacje.

Mało kto wspomina, że jedna trzecia tego szmalcu to pieniądze polskie. Te płacone Brukseli w ramach składki, VAT-u i innych należności. Jeszcze mniej osób raczy pamiętać, że poszczególne inwestycje nie są przez Unię finansowane, ale dofinansowywane. Nasi inwestorzy państwowi, samorządowi i prywatni muszą mieć własną kasę, żeby te pieniądze dostać. Polski wkład własny średnio oscyluje ok. 40 proc. I dlatego, gdy przy wsparciu unijnym powstaje coś za 1 mld zł, to wypada pamiętać, że Bruksela dołożyła się do niego nie w całości, ale w 60 proc.

Za co oczywiście winniśmy Unii wdzięczność, bo mieć tysiące kilometrów dobrych dróg za 40 proc. ich wartości naprawdę warto.

Stopa rzeczywistości alternatywnej

RRSO to to, czym wabią reklamy banków i chwilówek. W założeniu wskaźnik ten ma zawierać wszystkie koszty kredytu i pokazać „roczny koszt kredytu w ujęciu procentowym”. Po to, żeby każdy wiedział, na jaki haciec się naraża, pożyczając pieniądze.

I RRSO jest podawana. Zawiera nawet w sobie koszt odsetek kredytu. I prowizję za udzielenie kredytu. I opłaty przygotowawcze. A nawet opłaty za rozpatrzenie wniosku i koszty usług dodatkowych niezbędnych do uzyskania kredytu. A i tak kłamie.

Bo poza RRSO są ubezpieczenia kredytu, koszt wypłaty kredytu w oddziale lub bankomacie, koszt utrzymania konta bankowego czy karty

Niedawno temu Tusk oznajmił narodowi na okoliczność rozpoczęcia budowy na Bałtyku olbrzymiej farmy wiatrowej, że w perspektywie 15 lat będziemy pozyskiwać 18 gigawatów mocy z energii wiatru, w związku z czym prąd w Polsce będzie tańszy. Fajnie? Jasne, że fajnie.

Ruletka energetyczna

Tyle tylko, że już dziś wiatraki mogą dawać nam niemal 11 GW mocy elektrycznej. To połowa tego, czego potrzebują polska gospodarka i polskie mieszkania. Ba, oprócz prądu z wiatraków, mamy taki z instalacji służących do zamiany promieniowania słonecznego w energię elektryczną. Łączna moc zainstalowanej w Polsce fotowoltaiki wynosi niemal 22 GW. Znaczący, ile potrzebują wszystkie gniazda w Polsce, i to z dziewięcioprocentowym zapasem.

Wychodziłoby zatem, że już te dwa rodzaje odnawialnych źródeł energii dają nam o połowę prądu więcej, niż potrzebujemy.

A przecież cały czas hulają elektrownie, w których paliwem jest węgiel kamienny lub brunatny. Ich łączna moc wynosi prawie 28 GW. Z czego te opalone węglem kamiennym dają ponad 20 GW – resztę te na węgiel brunatny.

Mamy też elektrownie, w których paliwem jest gaz ziemny. Ich moc to 6 GW. Jak do tego dołożymy elektrownie wodne, dające niemal 2,5 GW mocy, to wyjdzie, że prądu ci u nas dostatek. Taki ponad trzykrotnie przekraczający zapotrzebowanie. I nawet gdyby przyjąć, że wszystkie samochody w Polsce mamy na prąd i do ich ładowania potrzebujemy 12,5 GW, to i tak mocy elektrycznej mamy dwa razy tyle, ile potrzebujemy. Sek jednak w tym, że tylko na papierze.

Wiatraki i fotowoltaika nie są w stanie zastąpić tradycyjnych elektrowni. Bo te muszą być gotowe do produkcji prądu na wypadek zachmurzenia lub braku wiatru. Albo nocy. Wytwarzanie energii ze słońca czy wiatru to produkcja skrajnie niestabilna, więc zwykłe elektrownie muszą i tak działać cały czas, bo w momencie zaniku produkcji z fotowoltaiki lub wiatraków trzeba by wyłączać odbiorców i uruchamiać

Ciemność widzę, ciemność...

Prądu z odnawialnych źródeł energii już dziś mamy za dużo

elektrownie, a to jest proces długotrwały, więc taniej jest mieć elektrownie uruchomione cały czas.

Drogi prąd z elektrowni węglowych trafia do sieci elektroenergetycznych nawet, gdy świeci słońce i wieje wiatr, czyli w momencie, kiedy OZE mogłyby dać 100 proc. prądu do naszych gniazdek. Tymczasem to ten tańszy, ekologiczny prąd z OZE nie jest do sieci wpuszczany.

Moc elastyczności

Najzabawniejsze jednak, że za ten tańszy zielony prąd, z którego nie korzystamy, i tak płacimy. Zgodnie z przepisami unijnymi i krajowymi właściciele instalacji, które musiały ograniczyć produkcję, mogą ubiegać się o rekompensatę. Przysługuje ona za utracone przychody – czyli prąd, który zostałby wyprodukowany, gdyby nie polecenie Polskich Sieci Elektroenergetycznych. A PSE bardzo często blokują prąd wytwarzany przez wiatraki i fotowoltaikę, ponieważ sieci nie mają możliwości zagospodarowania nadwyżek albo ze względu na brak wystarczających mocy przyłączeniowych. Jeśli jednak znajdą kupca na nadwyżkę prądu, to nader często, żeby tę energię wypchnąć za granicę, PSE musi do wysłanego prądu dopłacać. Tak: dopłacać, a nas traktować rachunkami opiewającymi na 500 zł za megawatogodzinę energii.

Cena ta bierze się z najdroższego na świecie polskiego węgla palonego w polskich elektrowniach. Węgla, który polski górnik musi wydobywać, bo jak nie, to przyjedzie do Warszawy, zrobi zadymę i pokażą to wszystkie telewizje. Rząd woli więc nie tykać górnictwa i w imię dobrostanu 40 tys. osób dozywających węgiel karać miliony cenami najdroższego w Europie prądu. Obciążonego na dodatek podatkiem od emisji dwutlenku węgla.

To jednak tylko jeden z powodów niewygaszania pieców w elektrowniach węglowych. Drugim jest fatalna elastyczność bloków produkujących prąd z czarnego złota. Elektrownie tego typu charakteryzują się długim czasem rozruchu – osiem godzin ze stanu zimnego – niską szybkością przyrostu mocy oraz tym, że można je „skręcić” do 40–60 proc. tzw. mocy znamionowej. Najmniej elastyczne są elektrownie na węgiel brunatny. Najniższy poziom, na jakim mogą pracować, to 69 proc. pełnej mocy. Ba, starsze bloki muszą mieć na rozruch nawet kilka dni. Nie można więc zmusić ich, aby pracowały na jedną ósmą gwizdka, bo nie dadzą rady się podnieść, gdy zgaśnie słońce i ustanie wiatr. A co oznacza kilka godzin bez prądu, przekonać się mogli całkiem niedawno mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego.

To właśnie niska elastyczność elektrowni węglowych kazała kiedyś Niemcom przechodzić na ruski gaz. Elektrownie gazowe są bowiem w stanie bardzo szybko wznowić produkcję energii elektrycznej po wyłączeniu. Czas rozruchu wynosi ok. godziny. Elektrowni gazowych mamy jednak jak na lekarstwo.

Największą elastycznością cechują się elektrownie na biomasę. W momencie gdy OZE notowało swoje rekordy, elektrownie te ścięły swoją produkcję o aż 80 proc. z dnia na dzień. Ale biomasa to tylko około 2 proc. polskiej energetyki.

Atomowa atrapa

Elektrowni atomowych też się nie wyłącza. Mogą być skrócone do 40 proc. swoich całkowitych możliwości. Całkiem jak te na węgiel kamienny. Atomówki mają jednak tę przewagę, że ekologicznie przebijają węgiel o kilka długości. Ekonomicznie również.

A skoro tak, to dlaczego jest mowa o tym, że w najbliższych 15 latach miast myśleć o atomówkach jako stabilnym źródle prądu, mającym zastąpić elektrownie węglowe, szukujemy się jedynie na wytwarzanie z atomu ledwie 6 GW mocy? Żeby mówić o minimalnym bezpieczeństwie energetycznym, powinny już być budowane elektrownie atomowe o łącznej mocy co najmniej 18 GW.

Zamiast tego zaklina się rzeczywistość opowiadaniem o konieczności inwestowania w tzw. magazyny energii. Znaczący wielkie akumulatory. Tyle że te produkowane dziś są po pierwsze drogie, po drugie mało efektywne, a po trzecie energochłonne w produkcji. Specjaliści twierdzą, że ich promowanie to kolejny wielki przekręt lobby producenckiego.

Według profesjonalistów o wiele sensowniejsze wydaje się elastyczne



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie lubię poniedziałków

A co by było, gdyby nadal był weekend?

kredytowej dołączanej do kredytu i w cholerę innych opłat, które pożyczkodawca sobie wymyśli.

Czyli jak w reklamie stoi, że RRSO ma 20 proc., to choćby naprawdę wynosiła trzy razy tyle, to i tak nikt kredytodawcy za oszustwo nie skáže.

I żyli równo i szczęśliwie

Wmówiono nam, że w Polsce jest sprawiedliwiej niż gdzie indziej. Nie dorobiliśmy się oligarchów, zaś mierzący nierówności społeczne (czyli rozpiętości między bogatymi a biednymi) współczynnik Giniego od lat nam spadał. To zaś oznaczało, że wszyscy mamy coraz bardziej po równo. Mniej sprawiedliwie od Polski było w Hiszpanii. I Portugalii, a już całkiem niesprawiedliwie w Wielkiej Brytanii.

Dane do tych porównań były jednak oparte na ankietach. W 2023 r. zespół badawczy z Paryża i Warszawy sięgnął po twarde dane z urzędów skarbowych. Wniosek?

10 proc. najbogatszych Polaków kontroluje 42 proc. dochodu narodowego. To więcej niż w Niemczech. Polska prze stała być klasą średnią Europy – stała się krajem bogatych i pozostałych.

Gini z GUS-u mówił jedno, a Gini z faktur – drugie. Statystyki ukryły, że mamy w Polsce to samo co w Rosji i USA. Krajach, w których przepaść między biednymi i bogatymi jest największa.

TOMASZ BOROWIECKI

zarządzanie popytem, ale najważniejsza jest rozbudowa i modernizacja sieci przesyłowych i dystrybucyjnych, które dziś absolutnie nie radzą sobie z dużą ilością rozproszonych produkcji. Budowane przed dziesięcioma laty, były przeznaczone na stałe regularne moce, nie zaś na huśtawki mocowe. Do dziś w niektórych miejscowościach są sieci lokalne pamiętające Bieruta.

To nie tylko nasza bolączka. W Niemczech z powodu braku odpowiedniej infrastruktury przesyłowej z północy na południe kraju w 2023 r. aż 22 proc. energii z morskich farm wiatrowych nie trafiło do sieci.

U nas problem jest podobny. Energetykę rozwijano w oparciu o węgiel. I to dlatego na południu powstawały elektrownie, a linie przesyłowe szły na północ. Obecnie morskie farmy wiatrowe i budowana atomówka za Łęborkiem wymuszają całkowitą reorientację sieci. Fachowcy wyliczyli, że przerobienie przesyłu już dziś spowodowałoby sensowne zagospodarowanie większej ilości energii z wiatraków i fotowoltaiki. Ale koszt takiego przedsięwzięcia to 450 mld zł, które trzeba wydać w najbliższych latach.

W rządowych przekazach zamiast o setkach miliardów mówi się o ledwie paru. Ale za to o olbrzymiej farmie wiatrowej na Bałtyku trąbią wszyscy oficjele. O tym, że prąd z niej to niepotrzebna ruletka – już nie. Gdy wiatr wieje zbyt słabo, wiatrak zatrzymuje się i produkcja prądu ustaje. Przy bardzo dużej prędkości wiatru turbina wyłącza się, aby uniknąć uszkodzenia. Energetyka wiatrowa nie jest w stanie zapewnić ciągłości dostaw.

Ale wyciągać pieniądze z naszych kieszeni – jak najbardziej. Farma ma obejmować 190 km kw. Tymczasem koszt położenia 1 cm kabla na dnie morza to 8 euro. Te wszystkie setki wiatraków trzeba będzie połączyć kablami tak ze sobą, jak i z lądem, na którym prąd z farmy nie będzie nikomu potrzebny. Bo leżących opodal atomówek nikt wyłączyć nie pozwoli.

TADEUSZ JASIŃSKI

Kapitalizm z powodu systemowej awersji do płacenia ludziom za pracę odczłowiecza z technologii cyfrowych w celu pozbycia się upierdliwych czynności w swoich biznesach. Co się da, przerzuca na swoich klientów: markety „zatrudniając” nas nieodpłatnie do obsługi maszyn kasowych rozliczających nasze zakupy, właściciele wolnego skrawka terenu w mieście skłaniają nas do joggingu w poszukiwaniu parkometru, a żądają zapłaty za świeży luft.

Nie będę pochwalać tego typu praktyk, bo to tak jakby koń do woźnicy wołał: „Hej ty! Strzel mnie z bata!” – więc pomyślałam, że w rewanżu za coraz bardziej kiepskie zarządzanie mojego świata trzeba przynajmniej wesprzeć koncepcję *work-life balance*.

Nie tylko korzystacie z moich pieniędzy – pomyślałam – ale zamiast mnie obsłużyć, zabieracie mój czas na obsługę waszych biznesów. Przyszedł czas, aby skrócić ustawowo czas pracy – taki właśnie powinien być skutek wprowadzania informatycznych technologii. Ale zewsząd słyszę głosy mądrali, którzy wciskają ludziom kit, żeby ich do tego zniechęcić. Propaganda tzw. ekspertów ekonomicznych koncentruje się na fałszywym argumente, że nie można w Polsce skrócić czasu pracy, bo w porównaniu z krajami wyżej rozwiniętymi zbyt niska jest u nas wydajność pracy. Kłamstwo polega na tym, że niska wydajność pracy to nie efekt naszego lenistwa, ale skutek braku dostatecznych inwestycji w automatyzację, informatyzację i oprzyrządowanie oraz kiepskiej organizacji pracy. Czyli grzechy biznesu. Co więcej: jest niemal pewne, że w większości zawodów i specjalności skrócenie czasu ludzkiej pracy wymusi wspomniane inwestycje i zmusi do poprawy jej organizacji.

Postanowiłam więc napisać bajkę o empatycznej królownie, która kochała swoją przepiękną krainę i swój zapracowany lud. Co prawda jeszcze bardziej

od ludu kochała swoje rozpaczliwe i beznadziejnie starające się o popularność stronnictwo polityczne. Z tej miłości ogłosiła inicjatywę polityczną pod hasłem: czterodniowy tydzień pracy. Zażądała, aby król skrócił czas pracy poddanych, uszczęśliwiając swój zarobiony naród. Nie ośmieliłaby się wystąpić z tego rodzaju żądaniem w obawie przed gniewem króla, gdyby nie fakt, iż jakiś czas temu król, po pijaku, sam ogłosił publicznie podobną ideę. I co prawda, kiedy już wytrzeźwiał, zakazał wszystkim wspominać o tym fakcie, ale królowa, pełna wiary w swą królewskość, zignorowała jednak zakaz króla i ogłosiła się patronką tej inicjatywy. Nie wiedziałam, jak kontynuować tę opowieść, ale tej nocy przysniła mi się pani Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ministra rodziny (jakim cudem można „ministrować” rodziną?!), pracy i polityki społecznej, i sprawa stała się prosta: bajka opowie się sama. Nareszcie idzie: czterodniowy dzień pracy! Postęp!

Po chwili jednak naszły mnie wątpliwości. Może to dlatego, że akurat dziś przy porannej kawie odpaliłam w głośniczkach „Hey You” starego dobrego Pink Floyd i razem z Rogerem Watersem dostrzegłam mur. Mur, który ma do pokonania sprytna królowa.

No bo pierwszy problem to: stan umysłu króla. Aktualnie król odurzony jest misją budowania siły i potęgi swej armii i potęgi państwa, a nie dobru narodu. Może trochę nawet ma cykora? Bardzo chce zapomnieć o swojej nierozważnej pijackiej obietnicy poluzowania cugli ludowi. Nie czas na słabość! Czas wolny poddanych to „krok ku przepaści”.

Drugi problem to dworzenie. Wędlug ich ideologii PKB jest wartością



nadrzędną – musi rosnąć. Nazwa: Produkt Krajowy Brutto jest mocno myląca dla zwykłego człowieka. Wielu z nas myśli, że to miara tego, co wypracowaliśmy. To byłoby przecież logiczne – źródłem dobrobytu może być tylko praca. Tymczasem PKB jest raczej miarą tego, co przejeżdżamy. Bujda kryjąca się w języku polega na tym, że głównym składnikiem PKB jest konsumpcja mierzona jako suma wszystkich wydatków gospodarstw domowych, a pozostałe składniki: inwestycje, wydatki rządowe i eksport są tylko znacznie mniej istotną częścią PKB. A zatem zdaniem królewskich dworzan i ekonomów ludzie są po to, by kupować. Nie ukrywają tego – dla nich jesteśmy tylko konsumentami. Czyli ludzie pracujący produkują (towary i usługi), a potem wszyscy (pracujący i rentierzy) konsumują. Innymi słowami: według dworzackiej ideologii mamy pracować, a to, co wyprodukujemy, kupować. Tylko wtedy będą mogli kasować zysk.

reszta państwowych etatowców też dostaną podwyżkę inflacyjną. Czyli żadną. Bo wyrównanie inflacji nie oznacza wzrostu, tylko utrzymanie tego, co jest. A raczej próbę ratowania siły nabywczej, która i tak przecieka przez palce jak woda przez durszlak. OPZZ zauważa, że niektórzy muszą odkładać trzynasty, żeby mieć na zapłatę podatku. A w kampanii wyborczej temat ten oczywiście nie istnieje – i aż dziw, że żaden polityk nie chwali się tym, że nie ma pieniędzy.

Ma za to zaprzyjaźnione instytucje od liczenia. Zaś badacze i statystycy udowodnią wszystko. Na przykład to, że coraz więcej specjalistów i fachowców nie chce mieć etatu. Nie dlatego, że to mniej wygodne, gorzej płatne albo bardziej ryzykowne. Tylko dlatego, że tak pokazują badania. A jak pokazują, to znaczy, że prawda. Z najnowszego raportu firmy Hays wynika zatem, że elastyczne formy zatrudnienia są dziś na wagę złota. I nie chodzi o złoto dla pracownika, tylko oszczędności dla pracodawcy. 56 proc. firm planuje zwiększyć zatrudnienie zewnętrzne – na kontraktach B2B (czyli z ludźmi zmuszonymi do założenia działalności gospodarczej) przez outsourcing albo agencje pracy tymczasowej. Rok temu tak mówiło 48 proc. To wzrost o 8 punktów procentowych. Co by oznaczało, że etat właśnie robi miejsce na śmieciówkę. Do niedawna tłumaczono to potrzebą elastyczności w kształtowaniu kosztów firm. Dziś tłumaczenie korporacji jest bardziej szlachetne – chodzi o dostęp do kompetencji. Bo jak się nie da zapłacić mniej, to można przynajmniej wmówić, że chodzi o jakość. 48 proc. firm przyznaje, że korzysta z B2B, bo potrzebuje ludzi z konkretnymi umiejętnościami. Elastyczne zatrudnienie to wolność dla pracodawcy. Pracownik też ma wolność – do samodzielnego płacenia składek, braku płatnego urlopu i konieczności ogarniania własnej księgowości. Za to na fakturze może sobie wpisać wszystko, nawet „usługi kreatywne” albo „doradztwo interpersonalne”. Ktoś powiedziałby, że firmy wyganiają ludzi na samozatrudnienie, bo taniej. Ale przecież to nie wyganieanie. To wolny wybór. Wolność zawierająca paragraf o karze za spóźnione rozliczenie. Wolność z przypomnieniem, że w razie choroby nie ma L4, tylko ciepła herbata i chodzenie do roboty. Badaczom wyszło, że kończy się epoka etatu. Nadchodzi epoka elastyczności, outsourcingu i delegacji. A wszystko w imię nowoczesności. Bo nowoczesność to przecież brak biurka, brak szefa nad głową i brak stabilności. Czyli trzy rzeczy, które w korporacyjnej nowomowie nazywają się benefitami.

Czyli sprawa staje się dość jasna. W tym królestwie w dającej się przewidzieć przyszłości nie zanoszą się na ustawowo czterodniowy dzień pracy. Chociaż, jak wiemy,

ostatecznym celem państwa powinno być zaspokojenie potrzeb jego obywateli – czyli społeczeństwa – a biznes ma być tylko narzędziem do realizacji tego celu. Tyle że król o tym nie wie, albo raczej ostatecznie ma to całkiem w dupie.

Jedynie bajka mogłaby opowiedzieć nam optymistyczne zakończenie, że plan księżniczki się powiodł i wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Ale bajka na ten temat zamilczy, więc zakończenie opowie nam, przewidywalna w tym przypadku, rzeczywistość.

Czas naszej zawodowej pracy to co najmniej połowa naszego życia. I nieważne, gdzie pracujesz, czy lubisz swą pracę, czy nie, czy pracujesz w szkole, czy jako kierowca autobusu albo operator koparki, czy może jako niby biznesmen na samozatrudnieniu, a nawet wtedy, kiedy ciągniesz za uszy własny mały biznes, to w efekcie nie masz wyjścia: pracujesz w kieracie i póki co to nie ty decydujesz, kiedy kierat stoi, a kiedy się obraca. Ale wspólnie za jakiś czas możemy napisać optymistyczne zakończenie tej i wielu innym bajkom – byle nie dać się otumaniać złej propagandzie. Niech to będzie zakończeniem mojej dzisiejszej bajki.

ANNA GRODZKA

Życie w DOBROBYCIE

● GUS ogłosił, że Polska wyprodukowała w 2024 r. dobra i usługi za 3,64 bln zł. W statystyce nazywa się to PKB. Jego wartość wzrosła więc z 3,41 bln zł w 2023 r. Znaczący gospodarka się odbiła. PKB co prawda mówi, ile wszystkiego razem się wyprodukowało, ale nie mówi, komu przypadło. A przypadło jak zwykle tym, co mają najwięcej. No i MON, które ma dostać 5 proc. wartości tegoż PKB. EBOiR twierdzi, że w tym roku polska gospodarka urosła o 3,3 proc., a w 2026 r. o 3,2 proc. Sęk w tym, że PKB jest jak licznik w samochodzie – pokazuje, że jedziemy, ale nie mówi dokąd. Ani czy mamy jakąś kierownicę.

● Jeśli ktoś w związku ze wzrostem PKB z utęsknieniem wypatruje podwyżki płacy minimalnej, to może już przestać, bo w 2025 r. wzrost będzie tak symboliczny, że nawet GUS będzie musiał użyć lupy, żeby go zauważyć. Rząd planuje bowiem, że pensja minimalna wzrośnie o dokładnie tyle, ile wynosi prognozowana inflacja. Czyli o 3,8 proc. Co przekłada się na podwyżkę rządu 121 zł na rękę. Akurat tyle, żeby raz więcej zatankować do połowy baku. O ile benzyna nie zdrożeje. Obecnie najniższa płaca krajowa to 4666 zł brutto. Po podwyżce ma to być 4843 zł. Na rękę wyjdzie 3632 zł, czyli mniej więcej tyle, ile miesięcznie kosztuje dziś wyżywienie czwórki uczniów w stołówce szkolnej. I jeszcze starczy na dwie gałki lodów – bez posypki. Związkowcy są wściekli, bo obiecywano im, że minimalna płaca będzie godna. Ale skoro w 2026 r. nie ma wyborów, to politykom już nie zależy. Do tego opóźnia się wdrażanie unijnej dyrektywy, która zakłada, że płaca minimalna powinna wynosić 55 proc. średniego wynagrodzenia. Dziś mamy 53 proc. Resort rodziny miał gotowy projekt nowelizacji, który ponoć uczyniłby podwyżki bardziej przejrzystymi. Ale z przejrzystością w polityce jest jak z czystą szybą w tramwaju – niby widać, ale jak się przyjrzeć, to tylko odbicie własnej twarzy. Problem nie dotyczy tylko pracowników z najniższą krajową. Budżetówka, funkcjonariusze i cała

● W związku z tym, że pracownicy na kontraktach nie powinni – zdaniem szefostw korporacji – siedzieć w domach, pracując zdalnie, w stolicy coś się ruszyło. I to w wieżowcach. Na początku 2025 r. warszawski rynek biurowy odnotował 16 proc. wzrost popytu. Znaczy to, że firmy zaczęły się biurami interesować bardziej niż nowym iPhone’em. W pierwszym kwartale w Warszawie było niemal 6,3 mln mkw. biur – do końca roku dojdzie tylko 135 tys. I to w pięciu budynkach, które powstają w ścisłym centrum. Inwestorzy wolą postawić jedną wieżę w Śródmieściu niż cztery na zielonej Białoleśce, bo tam przynajmniej da się dojechać tramwajem. W całym mieście wolnych jest 10,5 proc. powierzchni. To mniej niż rok wcześniej. Ale prawdziwie różnice widać dopiero w podziale na dzielnice. W centrum pustostanów jest tylko 7,4 proc., czyli prawie dwa razy mniej niż w niecentralnych strefach. Widać firmy chcą biuro mieć tam, gdzie da się kupić kawę z mlekiem roślinnym i zjeść lunch, który kosztuje tyle, co dzienna stawka diet w budżetówce. Mimo że za topowe biura w centrum płaci się nawet 27 euro za mkw. miesięcznie. Poza centrum wystarczy 15 euro, ale wiadomo – wtedy trzeba jeszcze dopłacać za dojazd i terapie psychologiczne dla pracowników, którzy utkneli w korku.

● Wielu osobom praca w korporacji kojarzy się nieślusnie z więzieniem. Trzeba bowiem przypomnieć, że był kiedyś taki pomysł, że więzienie to nie tylko miejsce odsiadki, ale i szkoła życia. A najlepiej szkoła zawodowa. We Wronkach ten pomysł zmaterializował się w postaci Pometu – państwowego przedsiębiorstwa przemysłu metalowego, które zatrudniało więźniów, żeby mogli się czegoś nauczyć i nie wracali do kryminału. No i jeszcze przy okazji produkowało osprzęt spawalniczy i inne stalowe cuda. Problem w tym, że dziś to nie więźniowie, ale sam zakład może zostać skazany. Na likwidację. Pomet złożył wniosek o upadłość. Nie byłoby w tym nic szczególnego, bo firm pada u nas więcej niż deszczu, gdyby nie to, że Pomet to przedsiębiorstwo przywieźienne, które działało nieprzerwanie od 1953 r. Znaczący sygnał o zwalnianiu grupowych. Może dlatego, że więźniowie nie mają związków zawodowych albo ktoś uznał, iż skazani też mogą się przekwalifikować. Tylko ciekawe na co?

TTJ

Sejmowe komisje śledcze winny być ścigane z mocy prawa już tylko za to, że istnieją.

Komisarze własnego interesu

Komisja do spraw wyborów kopertowych kosztowała nas prawie 2,37 mln zł. Komisja do spraw afery wizowej – 2,62 mln zł. Komisja śledcza do spraw Pegasus – jak dotychczas – prawie 2,5 mln zł. Czy ktoś może powiedzieć, co więcej niż przed ich powołaniem wiemy o aferach, nad którymi pracowały dwie pierwsze komisje? Czy ktokolwiek jeszcze śledzi, co ma do powiedzenia w języku zbliżonym do polskiego przewodnicząca komisji pegasusowej Magdalena Sroka? A może ktoś podnieca się farsą związaną ze stawianiem się bądź niestawianiem pisowców przed tą komisją, w której jak się pojawia, to nic nie stoi na przeszkodzie, by odpowiadali, że nic nie pamiętają?

Poselskie parcie na szkło

Komisje śledcze działają na podstawie ustawy z 1999 r., która nie działała do czasu, gdy przypomniało sobie o niej PiS, wnioskując o „komisję rywinowską”. Rządzący wówczas SLD zgodził się na jej powołanie. Po ponad roku telewizyjnego lansowania się przez Zbigniewa Ziobrę i Jana Rokitę komisja skonstatowała coś, co wszyscy wiedzieli od początku. Czyli że Lew Rywin przyszedł do Adama Michnika z koncepcją płatnej protekcji. Aby jednak nie było, że ciężkie pieniądze wydano, żeby dobrać się tylko do Rywina, to drugą skazaną – na (uwaga!) rok w trzyletnich zawiasach – została urzędniczka. Za sfalszowanie projektu ustawy o radiofonii i telewizji.

W lutym 2002 r. zatrzymano, a wkrótce odwołano ówczesnego prezesa PKN Orlen Andrzeja Modrzejewskiego. Po ponad dwóch latach od tego wydarzenia sejm powołał kolejną komisję śledczą. Po wielu miesiącach wytężonej pracy komisja w sprawozdaniu przepisała to, co z mediów wiedzieli wszyscy lata wcześniej. Dopiero w 2012 r. skazany w tej sprawie został Ryszard Bieszyński,

ówczesny dyrektor zarządu śledczego UOP, a rok później jego przełożony – Zbigniew Siemiątkowski.

W 2005 r. powstała komisja do zbadania sprzedaży PZU za grosze firmie Eureco. Po co, skoro od lat wiadano, kto, jak i z kim dokonał przekrętu? Skończyło się na wniosku do prokuratury o ściganie byłych prezesów PZU Władysława Jamrożego i Grzegorza Wiczerzaka. No i wezwano ministra skarbu do unieważnienia umowy prywatyzacyjnej PZU.

„Komisję śledczą do zbadania rozstrzygnięć dotyczących przekształceń kapitałowych i własnościowych w sektorze bankowym oraz działań organów nadzoru bankowego w okresie od 4 czerwca 1989 r. do 19 marca 2006 r.” PiS ustanowiło w 2006 r. Chodziło o dobrane się do skóry Leszkowi Balcerowiczowi i Hannie Gronkiewicz-Waltz. Po kilku miesiącach Trybunał Konstytucyjny orzekł, że część przepisów powołujących komisję jest niezgodna z konstytucją.

Z końcem 2007 r. powołano komisję śledczą do zbadania okoliczności tragicznej śmierci byłej posłanki Barbary Blidy. Szeferował jej Ryszard Kalisz, co doprowadziło do uznania, że Jarosław Kaczyński powinien stanąć przed Trybunałem Stanu za to, że „realizując koncepcję wykluczenia dużych grup obywateli, stworzył system eliminowania przy zastosowaniu przepisów prawa karnego” oraz za parę innych złamań prawa. Odpowiedzialność konstytucyjną miał też ponieść Ziobro. Lista uchybień konstytucyjnych i przekroczeń prawa byłego szefa resortu sprawiedliwości była równie długa jak w przypadku Kaczyńskiego. Poza tym komisja uznała, że „Bogdan Święczkowski powinien ponieść odpowiedzialność karną” za kilka naruszeń prawa.

Wnioski z prac komisji Kalisza zostały przez koalicję PO–PSL niedostrzeżo-

ne. Żadnemu z panów nic nie zrobiono. Dlatego Ziobro mógł znów być ministrem przez osiem lat, Kaczyński – nieformalnym premierem, a nawet oficjalnym wicepremierem, a Święczkowski – brylować w TK.

Komisja dla komisji

Od 2008 r. przez ponad 3,5 roku funkcjonowała „komisja śledcza ds. nielegalnego wywierania wpływu przez członków Rady Ministrów, komendanta głównego Policji, szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, na funkcjonariuszy Policji, Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, prokuratorów i osoby pełniące funkcje w organach wymiaru sprawiedliwości w celu wymuszenia przekroczenia uprawnień lub niedopełnienia obowiązków (uffi). Tylko po to, żeby w raporcie końcowym napisała, że „większość zarzutów wobec rządzących w latach 2005–2007 nie znalazła potwierdzenia”.

Szczytnie robienia wariata z obywateli była komisja śledcza do zbadania okoliczności porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika. Dwadzieścia parę miesięcy płacono posłom i biegłym, żeby doszli do tego, o czym każdy przed powstaniem komisji wiedział. Że śledztwo w sprawie porwania i śmierci Olewnika

było przykładem totalnej nieudolności organów ścigania. Że zawiodły wszystkie procedury, a prokuratura i policja winny kury szczać prowadzić.

Kilkanaście miesięcy posłowie i eksperci komisji śledczej ds. gier i zakładów doili budżet, aby dojść do tego, do czego doszedł Tusk, gdy afery wybuchła, wykupując wszystkich w aferę umoczonych. Sprawy nie ciągnęła nawet prokuratura, umarzając śledztwo w sprawie afery hazardowej w 2011 r.

Komisja śledcza do zbadania prawidłowości i legalności działań oraz występowania zaniedbań i zaniechań organów i instytucji publicznych w zakresie zapewnienia dochodów Skarbu Państwa z tytułu podatku od towarów i usług i podatku akcyzowego w okresie od grudnia 2007 do listopada 2015 została wymyślona przez PiS w 2018 r. Nikt winny się nie znalazł, ale ponad rok posłowie lansowali swoje buźki w telewizji i kasowali przysługujące im z tego tytułu honoraria.

Trzy lata komisja śledcza do spraw Amber Gold usiłowała w sprawie umoczyć Tuska. Nie wyszło jej. Winne aferze okazały się prokurator, nieszczególnie skądinąd kompetentne ani zaangażowane.

Tramplina

Komisje do spraw wyborów kopertowych i afery wizowej wymyślono jedynie

po to, żeby publika opatrzyła się z facjatami zasłużonych posłów KO, Dariusza Jońskiego i Michała Szczerby. To zaś po to, żeby panowie mogli skutecznie zaważać o mandat europoselski. Sprawozdania obu komisji nie wniosły niczego nowego do powszechnej wiedzy o obu aferach. Tak samo będzie z komisją do spraw Pegasus. Żadne przesłuchania nie dadzą niczego, czego opinia publiczna nie wiedziałaby o sprawie od lat. Działalność komisji pegasusowej jest więc niczym innym jak cyrkiem ku uciesze kodowskiej gawiedzi, która chciałaby oglądać prominentów dobrej zmiany doprowadzanych przed szanowne oblicze. A że żaden z nich niczego konkretnego nie powie? Ba, zrobi z siebie ofiarę antypisowskiej nagonki, wytykając mnóstwo głupawych uchybień i błędów władzy i organów ścigania?

Komisje śledcze wymyślono po to, żeby sejm badał afery aktualnej władzy. Ale tak było tylko w przypadku komisji Rywina, gdy polityczny błąd popełnił SLD. Potem żadna większość parlamentarna nie pozwoliła, aby rozliczać coś, co może ją drogo politycznie kosztować.

Przed komisjami stają więc poprzednio rządzący. Czyli ludzie, nad którymi nie jest już rozpostarty żaden parasol ochronny. Ludzie, którymi bez żadnego problemu może zajmować się nie komisja parlamentarna, ale powołana dokładnie po to prokuratura.

I prokuratura przekrętasów ściga. Przy sprawie wyborów kopertowych, afery wizowej i Pegasusu pracuje kilku prokuratorów mających dostęp zarówno do dokumentów, jak i świadków. Po co zatem powielać ich prace?

Komisję Macierewicza odsądzono od czci i wiary za to, że poszło na nią ponad 80 mln zł. Gdyby tę kwotę podzielić na lata jej działania, wyszłoby rocznie niemal tyle samo, ile wydajemy na nikomu niepotrzebne bicie piany przez puszących się przed kamerami polityków udających, że robią coś, bez czego Polska przestałaby być Polską.

TADEUSZ JASIŃSKI

PLURALIS MAIESTATIS

Ożywione białko

O goliźnie i kandydatach

Były imprezy masowe. Z rodzaju tych, które nie nużą, a podnoszą temperaturę uliczną i osobnicze tętno!

I tak na festiwalu w Cannes zmieniono zasady dress codu. Żadnych tamujących ruch, majtających się trenów. Za bogato i za niewygodnie. Nie ma co wkurwiać plebsu. Jest to jakaś spóźniona interpretacja urzędowej skromności papieża Franciszka I. Pogrobowa, rzekłabym. Zdaje się, że wraca moda na „bogate biedactwa”. Styliści gwiazd są przerażeni – co będzie, jak oni sami realnie zbiednieją?

Zabroniono także golizny. Nagość jest *verboten* – i na czerwonym dywanie, i poza nim. Chwała Bogu, jeszcze na ekranie można błyskać cymem! Festiwal ogłosił, że usuwają nagość ze względu na przyzwoitość. Auć! Jakby tak goło rozumieć zasady ubierania się, nawet scenicznego, to najbardziej przyzwoita jest Justyna Steczkowska. Bowiem bujała się na drucie (festiwal Eurowizji, też impreza) w kostiumie, który wyglądał jak lateksowe przebranko z warszawskiego sex-shopu z początku XXI w.

Ja tam uważam, że przyzwoitością jest chwalić tzw. cuda boże. A cuda boże wyglądają najlepiej –

cóż zrobić! – rozebrane. Począwszy od modelki pozującej do Wenus z Milo przez Josephinę Baker w spódnice z bananów do Belli Hadid z Cannes 2024. Dodam jeszcze, że wizualny przykład francuskiej modelki Didi Stone – która w zeszłym roku pojawiła się na czerwonym dywanie „ubrana” udrapowanym grafitowym kapturo-prześcieradłem oraz naszyjnikiem z rzemieni na brązowym, a nawet czarnym biuście – z mojego punktu widzenia powinien kończyć negatywną ocenę nadciągających fal imigranckich. Przecież ta królowa Saby jest córką Kongijczyka Koffiego Olomide. Owszem, jej sławny tata (piosenkarz) miał problem z prawem w Francji, ale córka jest grzeczna. Wpuszczajmy zatem tylko córki! Niech rzemieniami ucywilizują naszych rodzimych faszoli.

Podaję też, że najprędzej nowy dress code oprotestuje branża farmaceutyczna specjalizująca

się w lekach przeciwko otyłości. Kobiety frustrowały się doskonałymi ciałami aktorek, a kiedy wściek im przechodził bądź zużywał się w interesie, to znaczna część dziewczyn biegła do apteki czy drogerii po leki na przeczyszczenie i odchudzanie. Konsument idealny to konsument sfrustrowany, a nie zadowolony.

Co zresztą widać po przebiegu prezydenckiej kampanii wyborczej i wynikach pierwszych tury. Nagle okazało się, że tzw. ulica myśli albo myśleć usiłuje. Bo wcześniejse wybory (te parlamentarne) to był spód i historyczny bieg, aby tylko dobiec i wklepać PiS-owi. Bez uwag. Za to z wybiórczą amnezją dotyczącą rudych lat minionych i z marzeniami o gwiazdce z nieba dla wszystkich. Fakt – zadziało. Jak rozumieć, gwiazdki nie zostały dostarczone, aby ludzkie „ożywione białko” się nie poparzyło albo nie ścięło.

Dziś ten i ów z kandydatów został – nie przymierzając – obnażony. Następne dwa tygodnie pokażą, kto zostanie z gołą dupą. Choć tym razem widok będzie niepiękny... W ogóle goły facet jest brzydszy od gołej kobiety (tak, jestem heteroseksualna! Ortodoksyjnie!), ale polskie kobiety pokazały, że głoszą na mężczyzn. Widać, jednak wał je doznania estetyczne.

O tyle szkoda, że wiele wrzasku było przy ostatnich wyborach parlamentarnych o prawach kobiet, a skończyło się na niczym. Wiem też,

że albo gładka gęba, albo pełny bandzioch, ale dla ogromnej ilości pokornych Polek nie ma ani gładkiej gęby, ani pełnego bandziocha. Tak, obnażony został i polski wyborca. Kraj pracystami stoi, a po wynikach i faszolom dumnie sterczy. Co nie zmienia faktu, że Marian Turski w grobie się przewraca, słysząc powtarzane raz po raz swoje „Nie bądź obojętny!”. Trzaskowski zmienił się w kataryniarza, o ile nie w samą katarynkę. Kontekst też się liczy, drodzy kandydaci. I drodzy wyborcy. Tak czy siak, były imprezy masowe.

I będą imprezy masowe. Szczególnie jaram się na tą zaplanowaną 1 czerwca. Pozostając wszakże w wypracowanym, zdrowym, odświeżającym dystansie od lokali wyborczych.

Spoko ludzie, superprodukcje też oglądam na tablicie, a nie w kinie. Taka moja krótkowzroczność ożywionego ludzkiego białka – że pozwolę sobie w końcu na sarkazm.

IZABELA SZOLC



„Porządny człowiek”, nieporządny serial

Na co nie tracić czasu

„Jeden tam tylko jest porządny człowiek: prokurator; ale i ten, prawdę mówiąc, świnia” – najśłynniejszy cytat z „Martwych dusz” Nikołaja Gogola przyszedł mi na myśl po obejrzeniu pierwszych czterech odcinków serialu „Porządny człowiek”, reżyserowanego przez Aleksandrę Terpińską (nagradzana za „Innych ludzi”).

Na papierze to mógłby być naprawdę intrygujący thriller psychologiczny. Za scenariusz odpowiada stary wyga Marek Modzelewski (komediowa seria „Teściowie”), a także Krzysztof Czechtot, który wcielił się też w tytułowego bohatera Pawła Prusa.

Paweł to facet na poziomie: wysokiej klasy kardiochirurg, łapówek nie bierze, nie łajdaczny się. A ponieważ dobry byk, to i na wodzie się upasie, forsya ma jak lodu, bo jego żona Anna (chwilami drętwa Magdalena Czerwińska, która dużo lepsza była w „Behawiorystyce”) to bizneswoman z branży farmaceutycznej. I tak by sobie żył od sukcesu do sukcesu, gdyby nie feralny dzień, który zmienił wszystko (może piątek trzynastego?).

Jego syn Jasek zostaje w szkole dotkliwie pobity przez agresywnego rówieśnika (mocna rola bezczelnego Konrada Kąkole). Brutal nie chce przeprosić, a jego stara to prawniczka, która swojemu dziecku krzywdy nie da zrobić i gotowa jest wykorzystać

swoją całą wiedzę, by zatruć życie rodzinie Prusów. Nie cofa się nawet przed próbą namówienia dyrektorki szkoły, aby skasowała nagranie, na którym jej synalek okłada pięściami Jaska.

Wiadomo, że jak się pierdoli, to wszystko naraz. Umiera pacjent kardiochirurga, a rodzina chce, by ktoś za to zapłacił – najlepiej idąc do pudła.

Jak dotąd wszystko w porządku najlepszym, czekamy, aż napięcie będzie narastać. Agresywny gówniarz wpada pod koła samochodu, a porządny Paweł chce go zawieźć do szpitala, aby nie zawieść siebie jako osoby z gruntu moralnej. Ale przed szpitalem widzi jego starą, zmienia zdanie i gnojka uprowadza.

I tu zaczyna się seria zdarzeń równie prawdopodobnych (także psychologicznie) wygrana Adriana Zandberga w nadchodzących wyborach prezydenckich. Najbardziej kuriozalna jest scena, w której Paweł trzyma małą siekierę i wchodzi z nią do domu w lesie, ale jest jasne, że nie robi krzywdy najlepszemu kumpłowi i jakiejś przypadkowej babie od handlu nieruchomości. Po co zatem ją bierze, chuj go wie...

W ogóle główny bohater jawi się jako – mówiąc słowami pamiętnej piosenki raperów z grupy Kaliber – „groźny jak trądzik lub misie koala”. Nie jest to bynajmniej Walter White, który – z odcinka na odcinek serialu „Breaking Bad” – konsekwentnie przekracza kolejne granice, stając się rasowym producentem metamfetaminy, zabijającym osoby, które mu zagrażają: czy to własnymi rękami, czy korzystając z wynajętych zbirów.

Paweł ma za sobą traumę z dzieciństwa – jej reminiscencje pojawiają się w kolejnych odcinkach – i nawet pyta ojca (światny Jan Englert!), czy aby go to nie zmieniło. Coś trochę za podobną do jego obecnych uczynków, choć nie od dziś wiadomo, że niejedna ofiara zmienia się w kata...

Jestem pewna, że z tymi aktorami i z tą historią można by zrobić znacznie lepsze kino. Wiem, że George Orwell w jednym ze swoich esejów zarzucał Williamowi Shakespeare’owi dłużyzny i dziwaczne perypetie, ale scenarzyści „Porządnego człowieka” nie są jednak genialnym angielskim dramaturgiem.

Rację ma Jan Sławiński, który w „Filmwebie” cierpko zrecenzował serial, zwracając uwagę na „nieologiczne rozwiązywanie fabularne, idiotyczne zachowania bohaterów i absurdałne podbijanie stawki. Trudno zawieść niewiarę, gdy niemal każda decyzja bohatera jest głupsza od poprzedniej i ze sceny na scenę oglądamy, jak on sam sobie kopie grób”.

No i w tej – reklamowanej jako thriller psychologiczny – produkcji subtelności jest tyle, co w ruchaniu się po pijaku na sianie w stodole. Sławiński

widzi to tak: „Nieprzypadkowo przecież na szybę samochodu Pawła w pierwszym odcinku spada martwy ptak. Odnoszącemu same sukcesy lekarzowi też podcięto skrzydła, a na przestrzeni kolejnych odcinków oglądamy, jak pikuje w dół ku nieuchronnemu zderzeniu z ziemią. Szkoda, że wraz z nim spada poziom samego serialu”.

Mnie zastanowiła scena uroczystości komunijnych, gdy Paweł wpatruje się w ukrzyżowanego Jezusa. Krzyż pański mam z tą nachalną jak telemarketerzy symboliką. Idiotyczna z gruntu jest też scena, w której w trakcie imprezy komunijnej bohater wypytuje coraz bardziej pijanego szwagra policjanta, ile można dostać lat paki za czyn, jaki popełnił. Nie mam szczególnie wysokiego mniemania o inteligencji polskich policjantów na trzeźwo (a tym bardziej na bani), lecz nawet w tej formacji chyba nie służą krety, których nie zastanowiłaby gadka o porwaniu nieletniego, a następnie opiekowaniu się nim, zakończona pytaniem o potencjalną karę.

Główny bohater jest kimś, z kim zapewne ma się utożsamić klasa średnia aspirująca do klasy wyższej. To taki koszmar, gdy nagle wszystko się wali, lata ciężkiej uczciwej pracy idą w kibini mater. Dostatnie udane życie nagle legło w gruzach.

Pojawia się też bardzo niewygodny dla klasy średniej temat przemocy. Fajnie może i pakować na siłowni, ćwiczyć sztuki walki (jak żona Pawła), ale danie komuś z pięchy lub z buta (zwłaszcza małolatu) to jakoś nefajne jest. Można wszak pobrudzić sobie wypielegnowane ręce. Klasa średnia często deleguje przemoc, zgodnie z podziałem pracy w kapitalizmie.

W skrócie: „Porządny człowiek” porządnie może rozczarować.

Z.J.

Czyli Burdel w Gmachu Sprawiedliwości

Przez całe półwiecze żyłem w skrupowaniu nakazem poprawności: „jeśli nie wiesz, jak się zachować, zachowaj się przyzwoicie”. Dopiero teraz mogę popołgować starczemu zamięłowaniu do świntuszenia i nazywać rzeczy po imieniu.

Sztukę „Corruzione al Palazzo di Giustizia” Ugo Betti napisał na przełomie 44 i 45 roku ubiegłego stulecia. W Polsce tuż po wojnie przetłumaczona została jako „Trąd w pałacu sprawiedliwości”. Trąd to było mocne słowo w połowie lat 40., kiedy amerykańska penicylina w ampułkach powodunka wciskała się do medycyny i dopiero zaczynała czynić spustoszenia we florze bakteryjnej kiły, gruźlicy oraz wszelkiej innej gangreny. Na przykład syfilis do tego stopnia został poskromiony przez antybiotyki, że „syf” oznacza dziś raczej nieporządek w mieszkaniu niżli śmiertelnie groźną chorobę wywołaną przez mikroba krętaka bledęgo.

W optymistycznym roku 1970, kiedy tracił władzę Gomułka, a już, już obejmował ją Gierek, Teatr Telewizji zekranizował sztukę Bettiego w reżyserii Gustawa Holoubka, z najświetniejszymi aktorami w ośmioosobowej obsadzie. Polskie słowo „trąd” dawno już utraciło swoją przerażającą moc, ale ciągle jeszcze było bardziej wyraziste od łacińskiej „korupcji”, użytej w tytule oryginału. Przez całe półwiecze socjalizmu realnego korupcja była zjawiskiem marginalnym, z centrum problemów społecznych wyparta została przez nieszkodliwe „kumoterstwo”, bo najbardziej pożądane przedmioty zbytku – jak mieszkania i samochody – dostawało się na przydział, a nie kupowało. Do-

Syf na szczytach władzy

piero zmiana złego ustroju na lepszy wyłoniła wszechpotężną grupę społeczną lobbystów.

Korupcja w socjalizmie realnym stanowiła chorobliwe odstępstwo od normy w ustroju sprawiedliwości społecznej postulowanej przez Marksa-Engelsa; w liberalnym kapitalizmie stanowi natomiast jego ustrojową istotę.

Oglądałem spektakl Holoubka w świetnej telewizji „Krwawego Maćka” Szczepańskiego. Nie przypominam sobie emisji tego arcydzieła ani za rządów eseldowskiej lewicy, ani też podczas dwu kadencji sprawowania władzy przez Platformę Obywatelską. Na pewno „Trądu...” nie pokazywano przez osiem lat panowania Zjednoczonej Prawicy. Dopiero kiedy minister Sienkiewicz postawił całą TVP w „stan likwidacji”, tymczasowe kierownictwo programu TVP Kultura odważyło się na pokazanie tego skończonego arcydzieła, a uczyniło to w dniu szczególnym, nazajutrz po debacie telewizyjnej w TVP i na pięć dni przed pierwszą turą wyborów prezydenckich AD 2025.

W sztuce Bettiego, skomponowanej jak klasyczny kryminał, intryga kręci się wokół walki o tron w Pałacu Sprawiedli-

wości, zajmowany przez postarzałego, zniechęconego Vanana. Cust i Croz – wysuwający się na czoło kandydaci do sukcesji – skaczą sobie do gardeł, uciekając się do najnikczemniejszych chwytów. Podobnie wyglądają sprawy w dzisiejszej Polsce. Prezydent Duda zdzienniał kompletnie, że tak powiem: zdiadział, w Wielki Tydzień postarzał się o pół wieku, ale za nic nie chciał ustąpić miejsca młodym tygryskom. Jeśli z oczywistych powodów nie jest możliwe pozostanie przy władzy na trzecią kadencję wzorem Putina, to może dla tak zasłużonej Głowy Państwa znalazłoby się miejsce w fotelu premiera, na wzór prezydenta Miedwiediewa? Ale Trzaskowski i Nawrocki, dwaj ambitni liderzy wyścigu wyborczego, nie dadzą staruchowi najmniejszych szans.

Jaki cel przyświecał telewizji wydarzyć dobrej zaniechania przez ministra Sienkiewicza, która postanowiła wyemitować „Trąd...” na pięć dni przed wyborami? Cemu służyło pokazanie tego syfu i tego burdelu? Jak drętwa prozą odmalować to drzące i syczące kłębowisko żmij?

Ponieważ brakuje stosownych słów, trzeba odwołać się do obrazka: fresku Elihu Veddera, zdobiącego od prawie dwu wieków hall czelny głównej Biblioteki Kongresu (Thomas Jefferson Building, Waszyngton), najstarszego i najbardziej szacownego przybytku demokracji w czasach nowożytnych.

Na tronie z marmuru karraryjskiego siedzi wielka „Kurwa Mać” (patrz: Julian Tuwim, poemat „Bał w operze”), odziana w starorzyską szatę, z wywalonymi na wierzch cyczkami i z kształtnym udem odsłoniętym wysoko ponad przyzwyczajenie. I ten powabny babsztyl, jak bogini Temida, trzyma w ręku wagę dwuramienną, na której lobbysta kładzie woreczek ze złotymi świnkami.

Obok tronu, w daremnym oczekiwaniu na jakiś akt łaski, z pustym wrzecionem w ręku stoi bosonoga dziewczyna. Podpis na postumencie marmurowego tronu: „CORRUPT LEGISLATION”. Jak to przetłumaczyć na polski? Skorumpowana legislatura? To trochę za mało, bo malowidło mówi nam brutalnie, że „popsute prawodawstwo”, nad którym zwierchność sprawuje cycata „Kurwa Mać”, zawsze będzie brało w obronę bogatych pracodawców i ciemiężyło ubogich wyrobników. Gołym okiem widać, że przekupny babsztyl oszukuje na wadze, a u stóp lobbysty leży przewrócony dzban (urna?), z którego wysypują się kartki (do głosowania?), co sugeruje, że właśnie sfalszowane zostały wybory.

Trzeba wiedzieć, że malowidło ściennie nad wejściem do Biblioteki Kongresu powstawało w czasach, kiedy wszyscy amerykańscy demokraci obstawali przy poglądzie, że Ameryka jest globalnym rajem i świątynią ziemskiej sprawiedliwości. Pacykując swój fresk na ścianie bibliotecznej, Eliachu Veder nie potrafił wyobrazić sobie rządów Donalda Trumpa i żywił przekonanie, że demokracja amerykańska ma przed sobą wyłącznie tłuste i miłe sercu stulecia dobrobytu i liberalnej sprawiedliwości. Mniemał, że każda bosonoga prząśniczka może zostać miliarderką, a w najgorszym przypadku może liczyć na pomoc liberalnej mizerykordii, tak jak – przykładowo – pogrążony w biedzie lokator komunalnego mieszkania, któremu okazał miłosierdzie kandydat na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, biorąc pod swoje opiekuncze skrzydła jego uwłaszczony lokal.

Jakże bezbrzeżną naiwnością popisałi się ojcowie założyciele amerykańskiej *Democracy*, konstruując w konstytucji

Stanów Zjednoczonych krocie „bezpieczników”, które miały zabezpieczyć liberalną demokrację przed wszelkimi zakusami despotów. Przyszedł Trump, triumfator uczciwych i pomyślnych dla lobbystów wyborów, i jednym zamachem podpisał umowę o dostawie półtora tysiąca uczestników bandyckiego napadu na Kapitol; a więc także i tego zbira, który sieknął maczetą umundurowanego stróża porządku konstytucyjnego, raniąc go śmiertelnie. I na tym samym oddechu zapowiedział, że jeśli Grenlandia nie zgodzi się na włączenie jej do terytoriów zamorskich Stanów Zjednoczonych dobrowolnie i za odpowiednią rekompensatą w dolarach, to zajmie ją przemocą z użyciem zielonych ludzików, bez jednego wystrzału.

Wystraszona Estonia zaczęła już wydawać na brojenie grubo powyżej 5 proc. PKB. Przerazona Norwegia przynajmniej się, że – dzięki zniszczeniu dwu rur Nord Stream – na podwyżkach cen ropy i gazu zarobiła dodatkowo 1,17 biliona norweskich koron, a na pomoc Ukrainie wydała zaledwie 38 mld dol., toteż tytułem ekspiacji chce teraz wielokrotnie zwiększyć dobroczynność na rzecz prezydenta Zelenkiego. Państwa nadbałtyckie gorączkowo łączą się w związek jak gdyby hanzeatycki do zastopowania kontrabandy rosyjskiej ropy i gazu przez „flotę cieni”. Robi się naprawdę ciekawie.

Przed trumpizmem Ameryka już sama się nie obroni. Trzeba dopomóc obywatelom USA, wybierając w drugiej turze polskich wyborów prezydenckich osobnika, który w odróżnieniu od kandydata Nawrockiego, co to pstryknął sobie selfie z Donaldem Trumpem, każe sfotografować się z duńską parą królewską albo nawet z premierem Norwegii.

JAKUB KOPEĆ

Czy można być dobrym papieżem?

Spowiedź antychrysta przed braćmi w niewierze

Muszę się wam do czegoś przysiąc. Otóż zgrzeszyłem ciężko myślą, mową, choć może nie uczynkiem. Mój grzech jest gwałtem przeciwko przykazaniu jedenastemu: „A Kościół katolicki i kler jego zwalczać będziesz wszędzie i zawsze w imię boże!”. Otóż spowiadałem się Wam, umiłowani Bracia i Siostry w niewierze, iż zagustowałem w mężu jednym, stanu duchownego będącym, a nawet – o zgrozo! – najbardziej wyniesionym spośród tych niesławnych, albowiem królem ich, czyli papieżem będącym. Słowem, lubię Roberta Prevosta, czyli papieża Leona XIV.

Wiele już obejrzałem z nim filmików (w przerwach od oglądania mimo wszystko bardziej ekscytującej produkcji filmowej), sporo przeczytałem artykułów i powiem wam uczciwie: lubię tego faceta. W odróżnieniu od swoich śliskich i zakłamanych poprzedników Prevost jest sympatycznym i prostolinijnym facetem. Wprawdzie jak każdy klecha posługuje się bełkotliwą i absurdalną nowomową (staromową?) kościelną, ale po odrzuceniu tych wszystkich „naszych panów” i „naszych pań”, zostaje coś, co brzmi dobitnie, szczerze i rozsądnie. Nie wyobrażam sobie, aby ten gość mógł wysłać pedofila na stypendium do Austrii celem zgłębiania tam psychologii dziecięcej. Takie rzeczy tylko u nas!

Lepszego papieża nie moglibyśmy sobie życzyć. Ale kto „my”? My, niekatolicy, których życie w dużym stopniu zależy od tego, co nawywiają Kościół katolicki i jego agenci we władzach krajowych tudzież lokalnych. Nas

też obchodzi, kto tam na watykańskich stolcach i poduchach swe starcze gnaty składa.

Rodzą się tu jednakże pewne wątpliwości. Skoro jestem wrogiem kościoła, to czy nie powinienem pragnąć, aby papież był możliwie najokropniejszy, przyspieszając przez swoje grzechy i przez odrazę, jaką budzi w uczciwym człowieku, ostateczny upadek tej monstrualnej instytucji? Czy chwalać osobę

Leona XIV nie zmieniam się w błaznującego krytyka, co to krytykuje „z troską o dobro Kościoła”?

Oczywiście nie chcę dobra Kościoła, a ściśle się wyrażając:

za jedyne dobro związane z Kościołem uważam jego całkowite zniknięcie z powierzchni ziemi, razem z jego porażającą moją zmysł moralny ideologią. Gdybym był konsekwentny, widząc sympatycznego papieża, tym bardziej byłbym mu wrogi. Tylko że ja nie jestem konsekwentny.

I wcale nie uważam, że powinienem. A w pomaganiu Kościołowi przez dobrego papieża też nie wierzę.

Bo tak to już jest, że oceniając ludzi, nie jesteśmy do końca pryncypialni. Dlatego czasami podobają nam się ludzie służący złym sprawom, a nawet robiący złe rzeczy. Mogą to nawet być jacyś malowniczy przystojni przestępcy. Mogą to być kobiety zbyt łatwe albo malarze za wiele pijący. Mogą to być również politycy z niedobrych partii i rządów. No i mogą to

być również papieże. Nasze uczucia nie podążają za ocenami moralnymi ani oceny moralne za uczuciami. „Sing, Sing, pokochałam go... samo zło”, śpiewała Maryla Rodowicz do słów Agnieszki Osieckiej. Niby bandzior, ale słodki.

Nie chodzi jednakże tylko o uczucia sympatii i antypatii. Sprawa ma znacznie głębszą naturę. Chodzi mianowicie o to, czy możemy się moralnie pogodzić z tym, że czasami całkiem dobrzy, a wręcz szlachetni ludzie służą naprawdę złym sprawom. I to dobrowolnie! Znaczenie tego pytania można sobie uświadomić na przykładach krwawych, takich jak hitlerowskie Niemcy albo stalinowska Rosja. Ani Niemcy Hitlera, ani Rosja Stalina nie mogłyby prosperować, gdyby wszyscy funkcjonariusze tych reżimów byli zabijakami, złodziejami i bydlakami. Reżim musi mieć jakieś poparcie, a poparcie bierze się z jakiegoś dobra. Muszą być jakieś korzyści dla ludzi i jakaś „ludzka twarz” reżimu, aby mógł on mieć rzeczywiste poparcie części narodu. Paradoksalnie jest to robota dla dobrych ludzi. Czy partyjni inżynier, który zbudował fabrykę albo elektrownię gdzieś w nietkniętej przez cywilizację głębi Rosji, jest podłym kolaborantem, czy też okrucieństwem dobra w trybach maszyny zła? A może jednym i drugim? A może w ogóle nie ma „maszyny zła”, tylko niefortunne pomieszanie dobra ze złem, w którym akurat zło wzięło górę i ma najwięcej do gadania?

Historycy ma tak na co dzień. Większość dawnych władców to byli mordercy. Łatwo powiedzieć: „to były inne czasy”, „nie wolno przykładać miar współczesnych do dawnych epok”, ale czy naprawdę? Czy dziewczyna sprzedana w niewolę seksualną przez piastowskiego księcia za arabskie srebrniki czuła się lepiej niż ta sprzedana przez jakiś „Dziwex” do niemieckiego burdelu? I czy średniowiecznym mieszkańcom dzisiejszej Suwalszczyzny milej było być mordowanymi przez zbrojnych katolickich zakonników, gdyż żyli dawniej? Przecież nie. Nie będziemy jednakże z tego powodu strącać nikogo z piedestału ani z banknotów zdrapywać. Znowu: nie jesteśmy konsekwentni.

Dzięki temu, że nie jesteśmy konsekwentni, możemy być elastyczni

i wyrozumiali. Ma to oczywiście tę złą stronę, że gdy sympatyzujemy z przysłówowym „dobrym gangsterem” albo innym Janosikiem, to pośrednio wspieramy zło, które czyni. Ma jednak i tę dobrą stronę, że widzimy człowieka na tle systemu zła, któremu służy, lecz dostrzegamy też jego odrębność; nie redukujemy go do roli trybiku w maszynie zła. I dobrze – bo jednak człowiek jest zawsze czymś więcej niż jego społeczna czy zawodowa rola.

Itak to właśnie jest z tym Robertem ze swojskiego Chicago, który został papieżem. Facet kiedyś poszedł jak drogą – został księdzem i robił karierę w Kościele. Nie rozumiał i pewnie nadal nie rozumie, czemu i komu służy. Ale jako facet, ten oto Robert starał się jak mógł robić dobre rzeczy, zwłaszcza w sferze dobroczynności i wspierania ubogich. Pewnie po drodze musiał trochę narozrabiać, bo bez tego w takiej organizacji się nie da. Zapewne zamknął w sejfie czyjąś brudną teczkę personalną, może raz czy drugi posunął się za daleko w kolaboracji z jakimiś bandziorami na stanowiskach albo i bez stanowisk. W końcu Ameryka Południowa to nie obóz harcerski. Ale na końcu liczy się człowiek w całości i jego całociowy bilans. Jako papież Robert jest nie do obrony. Być papieżem to rzecz podła i niegodziwa. Ale Robert jest poza tym i przede wszystkim człowiekiem. I jako człowiek jest chyba fajny. Dla Kościoła to wygrana, ale trudno. Byłoby coś perwersyjnego i diabolicznego w tym, abyśmy żyć zaczęli sobie lajdaka na czele imperium zła. Wierzę, że zarodki dobra rozsiane na szerokiej niwie zbrodni, pychy, ciemnoty i załgania, chociaż złudnie i uwodzicielsko ją zdołają nieczym kwiatki pośród ostów, to jednak w długiej perspektywie okażą się silniejsze i bardziej żywotne. Robert być może myśli, że zmieni Kościół, który wydaje mu się czymś w swoim rdzeniu dobru. Myli się – Kościół jest zły właśnie w swoim rdzeniu i nie można go naprawić. Można go jednak rozbroić i zniszczyć od środka siłą dobra. Wierzę, że Robert Prevost został zesłany przez Ducha Świętego, aby jako Leon XIV zwalczał zło, a więc niszczył Kościół dobrem. I tak mu, Duchu Święty, dopomóż!

JAK HARTMAN



ILUSTR. PAVEL FERENC

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Ksiądz Mateusz N., były proboszcz parafii pw. Błogosławionej Jolanty w Kostrzynie pod Poznaniem, który w styczniu 2025 r. został skazany prawomocnym wyrokiem za molestowanie seksualne 13-letniego chłopca, pozostanie w pierdlu. Sąd nie miał wątpliwości, że macanie pokrzywdzonego i wysyłanie mu pornograficznych zdjęć wyczerpuje znamiona tzw. innych czynności seksualnych i skazał klechę na 1,5 roku więzienia. Pedofil w koloratce nie stawiał się w zakładzie karnym i zawniósł o to, by móc odbyć wyrok w systemie dozoru elektronicznego w domu. W marcu, niecierpliwym decyzji, mimo iż ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości, pojawił się w poznańskim sądzie, gdzie został natychmiast zatrzymany w celu doprowadzenia do paki. W połowie maja sędzia uznał, że w stosunku do Mateusza N. konieczna jest resocjalizacja, a dozór elektroniczny byłby niewychowawczy. Serdecznie gratulujemy.

✦ Prokuratura Rejonowa w Grodzisku Mazowieckim prowadzi dochodzenie przeciwko księdzu Jarosławowi N., oskarżonemu o posiadanie mefedronu oraz nieodpłatne udzielanie tej substancji innej osobie. Do zdarzenia doszło 8 maja 2025 r. Podejrzany przyznał się do zarzucanych mu czynów. Władze archidiecezji warszawskiej podjęły decyzję o zawieszeniu duchownego we wszystkich czynnościach duszpasterskich, w tym publicznym sprawowaniu sakramentów, do czasu pełnego wyjaśnienia sprawy. Właściwie w czym problem? Przecież Božia karała się dzielić...

✦ Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport dotyczący finansowania kościołów w latach 2021–2023. Z danych wynika, że w ciągu dwóch lat państwo

przekazało Kościołowi katolickiemu i innym związkom wyznaniowym co najmniej 17,5 mld zł. 95 proc. tej kwoty, czyli ponad 16 mld zł, trafiło do Kościoła katolickiego. Raport pokazał, że we wskazanym okresie regularnie dochodziło do omijania trybu konkursowego w przydzielaniu kasy z budżetu państwa na rzecz sukienkowych, ze szczególnym uwzględnieniem rezerwy będącej w dyspozycji ówczesnego premiera Mateusza Morawieckiego. Kościół katolicki przytulił łącznie 200 mln zł ze 160 dotacji. 106 z nich przyznano bez konkursu. Ziobro zdziwienia.

✦ Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abepe Tadeusz Wojda, jego zastępca abepe Józef Kupny i sekretarz bp Marek Marczak wciąż walczą z edukacją zdrowotną. W opublikowanym niedawno liście apelują do rodziców, by nie wyrażali zgody na udział w zajęciach. Jak zaznaczają, w tematyce nowego przedmiotu niemal nie ma mowy o małżeństwie. Niewiele jest też o rodzinie. Natomiast tam, gdzie jest o niej mowa, przedstawiana jest w negatywnym kontekście, a macierzyństwo ukazane jest jako źródło zagrożeń. „Takie ujęcie ludzkiej seksualności zagraża prawidłowemu rozwojowi osobowemu dziecka i stawia pod znakiem zapytania przyszłość demograficzną naszego kraju. Według założeń nowego przedmiotu uczniowie mają być od najmłodszych lat poddawani erotyzacji” – piszą przedstawiciele KEP. Jak dla nas – same zalety. Najważniejsze, żeby najmłodszy nie był poddawany erotyzacji pod sutanną. A im mniej Polaków, tym lepiej.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Krecia robota Watykanu

Czeski film o konkordacie

Kiedy my się głowimy, co zrobić z konkordatem, nasi sąsiedzi działają. Czeski prezydent tym różni się od swojego polskiego odpowiednika, że nie kłęka na każde kiwnięcie kleru i nie podpisuje wszystkiego jak leci. Podczas gdy czeski parlament przegłosował ratyfikację konkordatu, Petr Pavel skierował tę umowę do Trybunału Konstytucyjnego, bo uznał ją za wątpliwą z perspektywy interesu państwa.

Nie tylko prezydent miał wątpliwości w tej sprawie. Wcześniej swoje zastrzeżenia zgłaszali posłowie, ale byli w mniejszości. Czeskim parlamentarzystom nie podobały się choćby zapisy o tajemnicy spowiedzi, które mogą posłużyć do ukrywania przestępstw seksualnych. Prace nad wprowadzeniem w życie tej kontrowersyjnej umowy trwały 22 lata i jeszcze potrwać.

22 lata temu czescy wybrańcy narodu po raz pierwszy odrzucili przyjęcie tej umowy. Papiescy urzędnicy jednak nie odpuszczali. Teraz posłowie wprowadzili poprawki, ale prezydent się zbiesił. Petr Pavel uznał, że „traktat jako całość narusza podstawowe zasady konstytucyjne państwa jako suwerennego, świeckiego i republikańskiego”. Czescy biskupi są – a jakże – innego zdania. Uważają, że uporządkowanie relacji z Watykanem służy przede wszystkim ludziom, a nie instytucji. Biskupi wszędzie tacy sami, nawet w laickich Czechach. Ale politycy inni. W Polsce to nie do pomyślenia, żeby sprawić przykrość ojcu świętemu.

Konkordat – za sprawą Joanny Senyszyn – był tematem polskiej kampanii wyborczej. Podczas jednej z debat Senyszyn

zapytała Sławomira Mentzena, czy ten wypowiedziałby ten traktat, gdyby został prezydentem. Popierany przez 15 proc. głosujących kandydat, do którego smąla teraz cholewki Nawrocki i Trzaskowski, w konkordacie nie widzi niczego złego.

– Nie zamierzam dążyć do wypowiedziania konkordatu, nie widzę połączenia pomiędzy konkordatem, Polską



ILUSTR. KRZYSZTOF OLEJNIK

i Watykanem a polską niepodległością. Na mocy konkordatu nikt nas nie zmusza do tego, żebyśmy płacili dużo za prąd, żebyśmy porzucili samochody spalinowe i przesiedli się na elektryczne, nikt nam nie prowadzi polityki celnej, żeby zaszkodzić naszemu rolnictwu i przemysłowi – kluczyl, omijając sedno sprawy. Prof. Senyszyn wyjaśniła mu, że ta umowa wcale nie jest taka bezkosztowa, jak ją lider Konfederacji maluje.

– Ja już naprawdę mam po karkardę słuchania w każdej kampanii

wyborczej: trzeba wypowiedzieć konkordat. A co żeście zrobili, żeby uporządkować tę sytuację? Wszyscy gadają, nikt nic nie robi. Trzeba się brać do roboty dlatego, że relacje Kościoła i państwa muszą zostać uporządkowane – mówił z kolei tuż przed wyborami inny kandydat, Szymon Hołownia, niekojarzący się najwyżej z wojującym antyklerykalizmem. Może być ciężko z tym uporządkowaniem relacji, jeśli kolejnego prezydenta wybiorą wielbiciele Mentzena i Brauna, sygnatariuszy Aktu Konfederacji Gietrzwałdzkiej, gdzie złożyli oni m.in. taką deklarację: „niniejszym zgodnie

wyrażamy szczerą wolę poddania naszego życia prywatnego i publicznego panowaniu Chrystusa Króla Polski oraz opiece Jego Najświętszej Matki, Królowej Korony Polskiej. Przy czym Ich władzę nad sobą pojmujemy całkowicie realnie,

bynajmniej nie tylko symbolicznie”. Konkordat to przy tym mało religijny dokument. A może by tak rzucić wszystko i wyjechać do Czech?

MATT KOBOSKO

W poszukiwaniu straconej idei

Korespondencja z Moskwy

Do Moskwy jadę przez Kaliningrad. Każdego dnia granicę przekracza kilkadziesiąt autobusów do Trójmiasta, Warszawy, Berlina, Frankfurtu, Wilna i Rygi. Za kierownicą przeważnie Rosjanie, czasem Polacy.

– Od dwudziestu lat jeżdżę do Kaliningradu, a takiego ruchu jak teraz jeszcze nigdy nie było. Jeżdżą wszyscy: Rosjanie, Białorusini, Polacy i cała Europa Zachodnia, szczególnie Niemcy – mówi mi jeden z kierowców autokaru stojącego na przejściu granicznym. Wszystkie formalności po obydwu stronach zajmują od dwóch do pięciu godzin. – Najdłużej stałem osiem godzin, a to i tak nie jest złe. Na granicy z Białorusią niektórzy stoją nawet cztery doby – dodaje mój rozmówca.

Funkcjonariusze sprawnie wbijają stemple do paszportów i wydają karty migracyjne, na przesłuchanie biorą kilka osób, w tym mnie. Powodem jest ukraińska pieczętka w paszporcie. Nie ma znaczenia, że na tym samym przejściu już mnie o tę pieczętkę wypyttywano.

– Gdzie byliście? Po co? Jak długo? Podobało wam się? Macie znajomych na Ukrainie? A rodzinę? Znacie ukraiński? A uczycie się go? Co sądzicie o specjalnej operacji wojskowej? – strzela pytaniami funkcjonariusz Federalnej Służby Bezpieczeństwa, a odpowiedzi skrupulatnie zapisuje. Po dwudziestu minutach wracam do autokaru z pozwoleniem na wjazd na terytorium Federacji Rosyjskiej.

Państwowe obchody, społeczna apatia

2 maja obwód kaliningradzki jest już gotowy do świętowania. Budynki obwieszone są Sztandarami Zwycięstwa – replikami flagi, którą żołnierze Armii Czerwonej 1 maja 1945 r. zatknęli na kopule Reichstagu. Każdy przystanek i autobus oklejony jest rocznicową symboliką. Następnego dnia w samolocie do Moskwy pilot życzy wszystkiego najlepszego z okazji zbliżającego się Dnia Zwycięstwa i prosi, by pamiętać o lotnikach poległych w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej.

Aeroflot od 3 do 12 maja oferuje bezpłatne loty dla bohaterów. Weterani, inwalidzi i jeńcy wojenni mogą lecieć klasą ekonomiczną, a bohaterowie ZSRR i odznaczeni Orderem Chwały Wojennej – klasą biznes. Już w samolocie nie trudno dostrzec, że wstążki św. Jerzego – jeden z najważniejszych symboli Dnia Zwycięstwa – ludzie noszą niemal wyłącznie służbowo. Nikt z pasażerów nie przypiął sobie do piersi symbolu nadchodzącego święta. Podobnie rzecz ma się w Moskwie, jedynie pracownicy – zarówno w państwowych, jak i prywatnych instytucjach – karnie ją sobie przypinają.

– Nic w tym nadzwyczajnego: Dzień Zwycięstwa jest świętem państwowym, dlatego państwo dekoruje miasto i ludzi, a po pracy ludzie żyją swoim życiem – mówi mi znajomy profesor jednego z moskiewskich uniwersytetów. Czy ludzie nie czują potrzeby współuczestnictwa w tak ważnym wydarzeniu jak 80. rocznica zwycięstwa nad faszyzmem?

– Rosjanie są bardzo zatowizowanym społeczeństwem, każdy żyje swoim życiem. A największym marzeniem mieszkańca stolicy jest praca zdalna, żeby mógł siedzieć w domu i w ogóle się publicznie nie pokazywać...

Następnego dnia zachodzę do zaprzyjaźnionej księgarni, gdzie kierownik potwierdza słowa profesora.

– W Moskwie mieszka kilka milionów Kazachów, Uzbeków, Tadżyków i Kirgizów. Wiesz, czym oni wszyscy się zajmują? Są kurierami! Moskwićzanin już nie chodzi do sklepu, tylko wszystko zamawia do domu. Nawet bułki z piekarni pod blokiem. Ja ogromną większość książek wysyłam kurierem, nawet do ludzi mieszkających pięć minut spacerem od księgarni – peroruje księgarz. – Marzeniem Moskwićzanina jest pracować z domu i wszystko zamawiać z dostawą do domu, a jeżeli gdziekolwiek już wyjechać, to na daczę, koniecznie ogrodzoną wysokim płotem z blachy, żeby nikt mu tam nie zaglądał.

Coraz bardziej w oczy rzuca się kontrast między ogromną skalą obchodów a całkowitą biernością społeczeństwa. Czy to ma w ogóle sens? – Oczywiście!

Obywatel usiadzie 9 maja przed telewizorem i poczuje się szczęśliwy z powodu bycia częścią narodu rosyjskiego. A władza niczego od niego nie wymaga, byleby był szczęśliwy, że jest Rosjaninem

– mówi mój rozmówca.

Wielka stolica, biedna prowincja

Wydaje się, że obywatele spełniają oczekiwania władz. Według danych Wszechrosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej (WCIOM) 92 proc. obywateli jest dumnych z Rosji, jej historii i kultury. Również poparcie dla władz jest więcej niż zadowalające: Centrum Lewady donosi, że prezydent Władimir Putin cieszy się poparciem 87 proc. społeczeństwa, a premiera i rząd popiera 76 proc.

– To wiarygodne dane. Putina faktycznie popiera 80–90 proc. społeczeństwa – mówi wykładowca jednej z moskiewskich uczelni.

– Poparcie dla Putina jest wysokie, na prowincji jest bliskie 100 proc., ale już w stolicy może być niższe niż 80 proc. – mówi mi znajomy dziennikarz, który wiele lat mieszkał w Rosji.

W Moskwie oficjalnie mieszka 13 mln osób, a faktycznie 25 mln, cała zaś aglomeracja liczy ok. 40 mln ludzi, czyli niemal jedną trzecią ludności Rosji. W tak wielkiej metropolii nawet kilka procent zdeterminowanych przeciwników władzy stanowi pewne zagrożenie.

– W 2012 r. na Placu Błotnym odbywały się regularne protesty przeciwko ponownemu objęciu urzędu prezydenta przez Władimira Putina. W szczytowym momencie demonstrowało ok. 100 tys. osób, czyli niespełna 1 proc. mieszkańców, a mimo to protesty były sporym problemem – komentuje dziennikarz.

Władza stara się zatem ugłaskać mieszkańców stolicy, żeby – jeśli nie chcą popierać rządzących – przynajmniej nie protestowali. Dlatego od rozpadu ZSRR to rozwój Moskwy jest priorytetem każdego rosyjskiego rządu. W stolicy jest najwięcej inwestycji i nowych miejsc pracy, a niedawno ogłoszono, że pod względem wielkości gospodarki Moskwa stała się drugą największą metropolią świata (po Nowym Jorku).

Ceną za dynamiczny rozwój stolicy jest niedoinwestowanie prowincji i rosnące z każdym rokiem nierówności dochodowe. W zeszłym roku średnie wynagrodzenie w Moskwie wyniosło 162 164 ruble (ok. 7700 zł), a w Inguszetii 39 964 ruble (1900 zł). Nauczyciel w Moskwie zarabia 111 744 ruble (5300 zł) a w Czeczenii 29 784 (1400 zł). Spragnieni lepszego życia wieśniacy emigrują więc do stolicy, co pociąga za sobą zamykanie wiejskich szkół oraz przychodni i sukcesywne wyludnianie się prowincji.

– To pogłębianie nie tylko małych i średnich miast, ale całej Rosji – komentował kilka lat temu przewodniczący rady Instytutu Demografii, Migracji i Rozwoju Regionalnego Jurij Krupnow. Tymczasem „Moskiewski Komsomolec” donosi, że rozwój organizacyjny i technologiczny Moskwy oraz jej zasoby czynią z niej naturalną „lokomotywę” rozwoju innych regionów Rosji. Już kilkudniowy pobyt w rosyjskiej stolicy pozwala stwierdzić, dokąd zmierza ta „lokomotywa”. Współczesna Moskwa ślepo podąża za Zachodem i bezrefleksyjnie popełnia te same błędy.

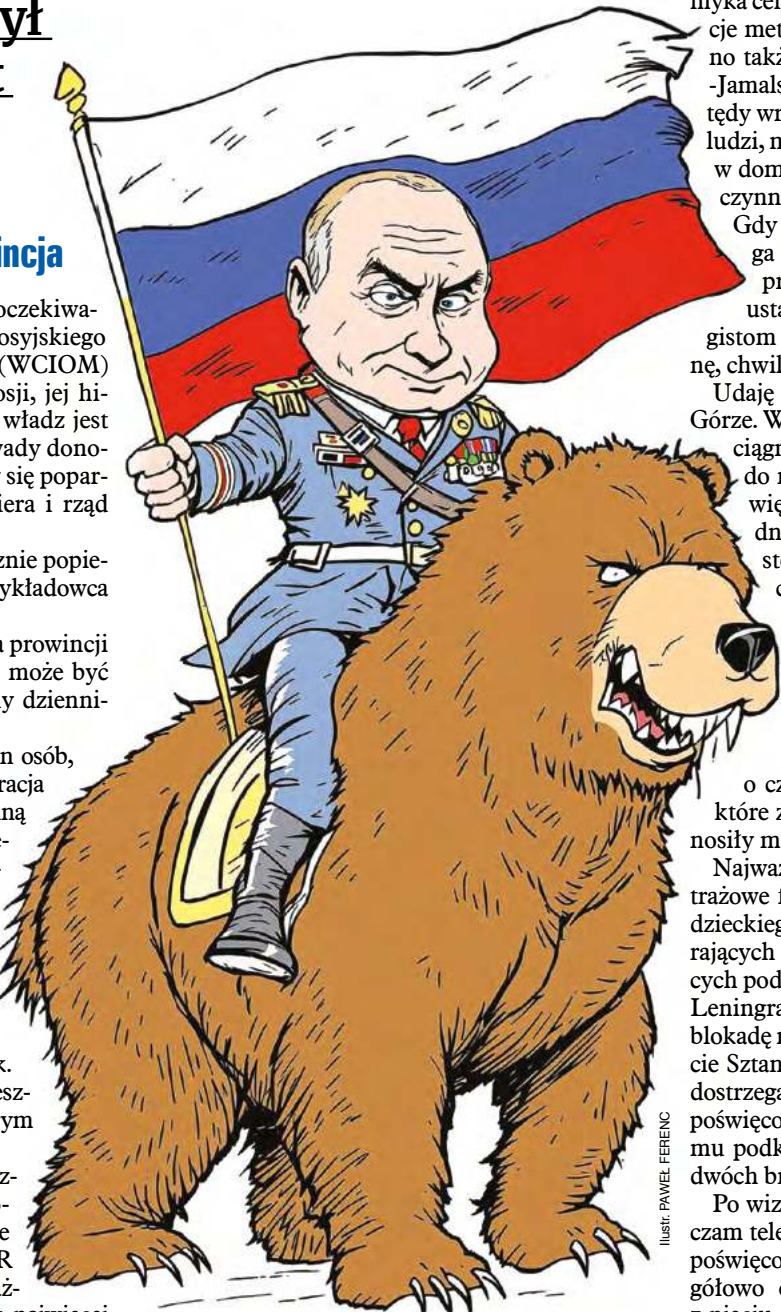
Bezideowość, wolność słowa

– Rosja nie ma na siebie pomysłu. Ideologia „anty Zachodu” propagowana przez Rosję za granicą, sprowadza się do krytyki ruchu LGBT – mówił mi niedawno znany rosyjski dziennikarz.

– Brak przewodniej ideologii jest faktem – potwierdza profesor. – Wszyscy debatuje o konieczności zdefiniowania państwowej ideologii, która nakreśliłaby kierunek rozwoju Rosji, ale od ponad 30 lat nikt tego nie zrobił. Współczesna Rosja jest państwem bezideowym...

– A przecież tak hucznie obchodzony jest Dzień Zwycięstwa, czyli pokonania nazizmu przez komunizm – mówię.

– Ideologia komunistyczna, stalinowska, która panowała w ZSRR w chwili zwycięstwa, nie ma obecnie żadnego znaczenia. To nie w związku z nią, a mimo niej Dzień Zwycięstwa stał się



– Nazywanie Putina liberałem to przesada. Putin mógł być liberałem na początku swych rządów, ale nie dziś. Rację ma jednak Aleksander Dugin, który mówi, że w otoczeniu Putina wciąż jest bardzo wielu zapadników, czyli liberałów, dla których punktem odniesienia jest Zachód, i oni istotnie wpływają na jego politykę – mówi z kolei znajomy dziennikarz.

8 maja, spacerując po Starym Arbacie, pytam straganiarza handlującego książkami, jak wygląda w Rosji wolność słowa.

– Wolność jest. Prywatnie możesz mówić wszystko, bylebyś nie wykrzykiwał tego na Placu Czerwonym. W internecie też jest wszystko. Wprawdzie niektóre strony są zablokowane, ale niemal każdy Rosjanin ma VPN, więc jest to blokada iluzoryczna. Młodzież od rana do wieczora ogląda na YouTube zagraniczne filmy i nikt z tym nie walczy.

Dopytuję o zamknięcie opozycyjnej „Nowej Gazety” i zakaz publikacji niektórych książek.

– „Nową Gazetę” faktycznie zamknęli, ale oni mieli może kilkadziesiąt tysięcy nakładu, czyli w skali kraju tyle co nic. A jeśli chodzi o książki, to są pisarze, którzy celowo piszą rzeczy skandaliczne, np. książkę dla dzieci w całości poświęconą miłości homoseksualnej. Nikt tego w Rosji nie wydrukuję, a później autor jedzie na Zachód i robi z siebie ofiarę politycznych represji. Ale jeśli pisarz jest dobry i pisze ciekawie, to bez problemu go kupisz. Np. książki Dmitrija Głuchowskiego, autora popularnych powieści, który popiera Ukrainę i mieszka na Zachodzie. Chcesz kupić, proszę bardzo, „Metro 2033”, 900 rubli (42 zł).

Parada i duma

W Dzień Zwycięstwa policja z samego rana zamyka centrum miasta. Nieczynne są wszystkie stacje metra wokół Placu Czerwonego, zablokowane także wiele ulic, w tym magistralę Twersko-Jamską, przy której mieszkam – czołgi mają wtedy wracać z defilady. Na ulicach prawie nie ma ludzi, mieszkańcy oglądają transmisję obchodów w domach, a turyści – w tym ja – w nielicznych czynnych kawiarniach i hotelowych lobby. Gdy widowisko na Placu Czerwonym dobiega końca, rozpoczyna się przejazd czołgów przez miasto. Ludzie wychodzą z bloków, ustawiają się wzdłuż barierek, machają czołgistom i wiwatują. Przejazd trwa niecałą godzinę, chwilę później służby otwierają ulice.

Udaję się do Parku Zwycięstwa na Poklonnej Górze. W metrze panuje ogromny ścisk, a w parku ciągną się niekończące kolejki – do wejścia, do muzeum, na poszczególne wystawy. Największym wzięciem cieszy się otwarta dwa dni wcześniej przez mera Moskwy i ministra kultury ekspozycja „Droga do Zwycięstwa”. Po dwóch godzinach oczekiwania przewodnik zaprasza nas do zwiedzania. Dowiadujemy się, że 1941 r. niemal cała Europa stanęła przeciwko ZSRR i poznajemy historię bohater-skiej komsomółki Zoi Kosmodiemianskiej. Przewodnik z pasją opowiada o czołgach, armatach i 60 tys. akordeonów, które zostały wysłane na front, aby pieśni podnosiły morale żołnierzy.

Najważniejszą częścią wystawy są krótkometrażowe filmy obrazujące bohaterstwo narodu radzieckiego. Oglądamy dzielnych żołnierzy odpierających hitlerowców spod Moskwy i zwyciężających pod Stalingradem, nieugiętych mieszkańców Leningradu, którzy przetrwali ponad dwuletnią blokadę miasta, a także zdobycie Berlina i zatknięcie Sztandaru Zwycięstwa nad Reichstagiem. Nie dostrzegam aluzji do współczesności, a na tablicy poświęconej marsz. Konstantemu Rokossowskiemu podkreślono, że był Polakiem i marszałkiem dwóch bratnich państw: Polski i ZSRR.

Po wizycie w muzeum wracam do hotelu i włączam telewizor. Wieczorny dziennik jest w całości poświęcony obchodom Dnia Zwycięstwa. Szczegółowo opisano 28 zagranicznych przywódców z pięciu kontynentów, którzy 9 maja przybyli na Plac Czerwony. Obecność chińskiego przywódcy Xi Jinpinga, prezydenta Brazylii Luli da Silvy oraz ministrów obrony Indii, Indonezji i RPA udowodniły, że izolacja Rosji na arenie międzynarodowej jest fikcją. Z kolei liczna reprezentacja przywódców republik poradzieckich dowodzi, że wbrew nadziejom Zachodu Moskwa jest dla tych państw w dalszym ciągu punktem odniesienia. Taktownie przemilczano nieobecność przywódców bliskiej Rosji Korei Północnej i Iranu.

...

W kolejnych dniach z ulic Moskwy znikają Sztandary Zwycięstwa, a rosyjska stolica wraca do codzienności. Można by odnieść wrażenie, że tygodnie przygotowań niewarte były tych kilku chwil świątecznej atmosfery, ale w bezideowym, zatowizowanym rosyjskim społeczeństwie Dzień Zwycięstwa staje się namiastką jednoczącej idei. To święto patriotyzmu bez ideologicznego podtekstu, pozwalające zademonstrować siłę i potęgę, poczuć dumę z własnej historii oraz kultury i wspomnieć heroicznych przodków, którzy 80 lat temu obronili Europę przed faszyzmem. Święto, którego Rosjanie po prostu potrzebują.

MAREK SANOWSKI

Największym zagrożeniem dla klimatu są ekolodzy

Samoośmieszająca się rewolucja

Polskie samorządy już lata temu postawiono w pierwszym szeregu walki o klimat. To dla nich wprowadzono opodatkowanie deszczu i śniegu. Pojawiało się też nowe źródło przychodów lokalnych w postaci mandatów za palenie w piecach plastikowymi butelkami i starymi butami. Początkowo właściciele wiejskich i podmiejskich pieców i kucharek węglowych palili śmieciami tylko, gdy straż lub policja była po pracy lub nocy. Ale i to się skończyło, bo proekologiczny naród zrobił to, co kocha od stuleci, i zarzucił władzę donosami o tym, co sąsiedzi wrzucają na ruszt.

Niemilujący natury naród starał się rzucać ekologicznemu samorządowi kłody pod nogi. Żli turyści zakwestionowali nawet opłatę klimatyczną, czyli haracz, którym obciążani byli przyjeżdżający do kurortów turyści.

WSA w Krakowie jeszcze w 2017 r. uznał, że z uwagi na zanieczyszczenie powietrza Urząd Miasta Zakopane bezpodstawnie pobierał opłatę miejscową, bo dopuszczalne normy zanieczyszczeń powietrza w momencie podejmowania uchwały były przekroczone.

Zakopiański samorząd pod rządami PiS nie bał się niczego, więc turystów i tak opłatą miejscową skubał. W przeciwieństwie do lokalów ze Szczyrku, którzy jak przegrali w sądzie, to opłaty miejscowej nie pobierali. Dopiero gdy zmieniła się władza, parę miesięcy temu radni z Zakopanego wystąpili z petycją do sejmiku i kancelarii premiera o zmianę przepisów dotyczących warunków, jakie powinna spełniać miejscowość, w której można pobrać opłatę miejscową.

Przeciwko miłującym ekologię samorządom wystąpiła fundacja Client Earth Prawnicy dla Ziemi. Towarzystwo to przeanalizowało stan powietrza w 35 górskich gminach i wyszło im, że żadna z badanych w Małopolsce i na Dolnym Śląsku miejscowości, która pobierała w tym czasie opłatę miejscową lub uzdrowiskową, nie miała do tego prawa z powodu występującego tam skażenia powietrza najbardziej niebezpiecznymi dla zdrowia pyłami.

Ale ani sądy, ani aktywiści nie dostrzegli, że walcząc z opłatami uzdrowiskowymi i miejscowymi, działają wbrew interesom klimatu. Ten zaś w miejscowościach turystycznych pogarszał się głównie ze względu na nieustannie napływające do tych miejscowości stada turystów. Im więcej ich było, tym więcej zanieczyszczeń i innych szkód środowiskowych generowali. Jedynym sposobem, żeby choć części tego tałatajstwa się pozbyć, było podniesienie im kosztów pobytu w kurorcie tak, żeby niektórym pobyt tam się nie opłacał. Dla włodarzy Zakopanego i innych Krynicy najlepsza byłaby sytuacja, gdyby do tych miejscowości docierali tylko szejkowie arabscy, których nacięłoby się na taką forszę, by zrekompensowały ubytek tysięcy średniozamożnych polskich ceprów.

Kudłaty niszczyciel klimatu

Ekologiczna inwencja samorządowców nie zna granic. Włodarze skorzystali więc z dorobku intelektualnego ekologów i innych wegan, którzy nie

od dziś szermują hasłami, że hodowla zwierząt straszliwie zatrzuwa naszą planetę. Dobrali się do danych mówiących, że system hodowli zwierząt gospodarskich globalnie emituje gazy cieplarniane odpowiadające 7,1 gigatonom CO₂ rocznie, z czego bydło odpowiada za 65 proc., a hodowla świń i drobiu – za 17 proc. Resztę stanowią konie, koty, psy, zwierzęta futerkowe itd. Najwięcej gazów cieplarnianych powstaje w procesach fermentacji jelitowej. Głównymi gazami pochodzącymi z chowu bydła są metan – 44 proc. oraz podtlenek azotu – 54 proc. Ba, emisja metanu z hodowli bydła stanowi 19 proc. globalnej emisji tego gazu, a w przypadku podtlenku azotu jest to 15 proc. globalnej emisji. Wszak taka krowa wytwarza od 100 do 500 litrów metanu dziennie.

Bydła zaś mamy niemal 6,5 mln sztuk. Owiec jakieś 250 tys. sztuk i tyle samo koni. Najwięcej u nas świń, bo ok. 10 mln. Dołożymy do tego jeszcze ponad 218 mln sztuk drobiu hodowanego w naszym kraju. Chociaż zdecydowanie dominują kurczaki i kury, to indyki, kaczki oraz gęsi też są liczone w milionach.

Wszystkie stworzenia duże i małe infekują atmosferę i zdaniem ekologów to jest złe. Ekologowie nie wypowiadają się natomiast na temat szkodziwości dla środowiska wynikającej z hodowania psów, kotów, królików, świnek morskich czy zółwi. Tymczasem populacja tych zwierząt jest porównywalna, nawet w Polsce, z pogłowiem hodowlanym. I wszystkie wytwarzają w swych futrzastych lub łuskowanych wnętrzach gazy jelitowe.

Można zatem śmiało powiedzieć, że poprzez puszczenie bąków domowe zwierzęta mają swój wkład w globalne ocieplenie. Wkład rządu 4–6 proc. – mniej więcej taki jak cały przemysł. Jeśli zatem udało by się zmniejszyć ich populację, wyjdzie to na turze na dobre.

Redukcja liczby psów o 70 proc. przez ich obligatoryjne opodatkowanie, czyli spowodowanie, żeby ludziom nie chciało się trzymać zwierzaka, znaczą-

☆ Były doradca Wołodymyra Zelenskigo Oleksij Arestowycz komentuje na łamach „Do Rzeczy” wpisanie przez ukraińskiego przywódcę na listę sankcyjną najważniejszych polityków opozycji, m.in. byłego prezydenta Petra Poroszenki i mera Kijowa Witalija Kliczki: *Rządy Zelenskigo można już nazwać jednoosobową dyktaturą. (...) Jest to system rządów skrajnie etatystycznych, opartych na dużej roli służb specjalnych, przesiąknięty szowinizmem, dyktatura łamiąca prawo i konstytucję, prześladowająca przeciwników politycznych i całe grupy ludności. Może nam się polityka Kremla nie podobać, ale jest ona propaństwowa. Putin działa w interesie Rosji tak, jak sam ten interes rozumie. Możemy się spierać, czy rozumie dobrze czy źle. Niemniej w Rosji panuje kult państwa. Zelenski natomiast nie tylko nie myśli w kategoriach propaństwowych. On nawet nie ma pojęcia, czym właściwie jest państwo. (...) Ponadto Zelenski prześladowa rosyjskojęzycznych Ukraińców. Patronuje fali nacjonalizmu. Państwo wbrew prawu i konstytucji represjonuje własnych obywateli tylko dlatego, że posługują się rosyjskim. Pojawili się nawet pomysły, by karać grzywną za używanie tego języka w mediach społecznościowych. Dowodem zaufania między Ukraińcami jest dziś przejście w prywatnej rozmowie na język rosyjski, który staje się na Ukrainie językiem wolności. Takiego rezultatu rządów Zelenskigo chyba nikt się nie spodziewał.*

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com



Przy tej okazji zostałby spełniony odwieczny postulat fanów ochrony praw zwierząt – dbania o ich dobrostan. Wilczury i inne wielkie psy mieszkające w blokach, po zastosowaniu obligatoryjnego i egzekwowalnego podatku, zostałyby lokatorami schronisk dla zwierząt i nie musiałyby się już męczyć życiem w małym mieszkaniu, nie mając szans na wybieganie się. A takiej szansy pozbawiają je przecież przepisy, wedle których pies ma być w kagańcu i na smyczy. W schroniskach pieski los z powodu lawinowego napływu zwierząt by się kończył. Doszłoby do ich selekcji, znaczy masowego usypiania.

Gazotwórczość pod cełą

Gdyby jednak komuś egzekwowanie podatku od psa i czystości trawników nie wystarczyło do podjęcia decyzji o ulżeniu klimatowi przez pozbycie się czworonoga, zawsze zostaje to, co wymyślono w Elblągu. Tam zaś czas jakiś temu uchwalono, że jeśli po godz. 22.00 zaszczeka pies lub zamiauczy chomik, to właściciel zwierzątka zapłaci mandat.

Miejskowy sąd skwapliwie skorzystał z okazji i tej samej pani na przestrzeni paru lat przywalił już dwa prawomocne wyroki. Sąd wyszedł z art. 51. § 1. Kodeksu wykroczeń, który mówi: „Kto krzykiem, hałasem, alarmem lub innym wybrzykiem zakłóca spokój, porządek publiczny, spoczynek nocny albo wywołuje zgorszenie w miejscu publicznym, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny”. Psa nie można ukarać, można natomiast wyciągnąć konsekwencje wobec jego właściciela. Kara za hałasowanie wynosić może 5 tys. zł. I to niekoniecznie za szczekanie o północy. Przytoczony przepis nie różnicuje wszak, czy chodzi o zakłócanie spokoju w dzień, czy po zmroku. Odnosi się ogólnie do sytuacji, w której prawo do spokoju jest łamane.

Sąd w Elblągu nie skazał jednak pani od szczekającego psa na areszt. Dwakroć udzielił jej natomiast nagany i co najistotniejsze, zasądził od obwinionej na rzecz oskarżyciela posiłkowego prawie 2,3 tys. zł tytułem wydatków związanych z ustanowieniem pełnomocnika z wyboru. Przy groźbie takiej kary większości właścicieli odechciałoby się mieć psa. Potem zaś przyszedłaby pora na koty, gekony i świnki morskie.

Stojące na straży ekologii państwo i samorządy na tym jednak nie powinny poprzestać. Bezpieczeństwu klimatycznemu oprócz zwierząt zagrażają wszak ludzie. Najbardziej zaś weganie.

O ile bowiem jeliła mięsożernych obywateli wytwarzają dziennie ok. 200 g mieszanki dwutlenku węgla, wodoru, azotu i metanu, to odżywiający się białkiem pochodzącym z roślin strączkowych wegetarianin produkuje tego nawet do 700 g.

Jarosze upodobał sobie zwłaszcza soję. W jej skład wchodzi oligosacharydy sojowe, które charakteryzują się dużą gazotwórczością, gdyż nie są trawione przez ludzki układ pokarmowy. Ponadto soja zawiera inhibitory proteazy, które znacznie osłabiają wchłanianie białka sojowego, przez co białka te, przedostając się niestrawione przez układ pokarmowy, również wzmagają występowanie uciążliwych dla środowiska zanieczyszczeń. Wniosek z tego może być tylko jeden: wprowadzenie zakazu stosowania diet szkodliwych dla klimatu. Z sankcją zakładającą pobyt w więzieniu podających wyłącznie białko pochodzenia zwierzęcego.

Dzięki tym prostym zabiegom nasze gminy byłyby bogatsze i czystsze, Polska zaś byłaby czempionem w walce z globalnym ociepleniem.

TOMASZ BOROWIECKI

REKLAMA

ANDRZEJ ROMANOWSKI
NIEPODLEGŁOŚĆ I PATRIOCI

SLUŻBY NA USŁUGACH PiS

BOHDAN PIĘTKA
EKSHUMACJE W CIENIU
KULTU ZBRODNIARZY

WOJCIECH KUCZOK
LAMINE YAMAL – GENIALNY 17-LATEK

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

PLAGA WYLUDZEŃ
OKRADANIE
SENIORÓW

Lublin!!! Siatka!!!

Wreszcie napiszę coś dobrego o sporcie

Złapałem się na tym, że ostatnio dużo złego napisałem o sporcie. Czyżbym aż tak się zestarzał i zdolny jestem tylko do zgryźliwej krytyki sprzed ekranu telewizora? W dodatku od czasu do czasu z rozrzewnieniem wspominam, jaki fajowski był sport w czasach, gdy jako młody dziennikarz uganiałem się po stadionach z nosem w rękę. Naprawdę nie wiem, czy wówczas sport był taki fajowski. Na pewno był inny. Też miał swoje minusy, jak choćby oszukańczy podział na sportowców amatorskich i zawodowych. Teraz przynajmniej wszystko jest jasne. Każdy sportowiec jest profesjonalistą, nawet ten, który jeszcze niedawno prowadzony był przez rodziców za rękę do przedszkola.

Tak czy owak, wypada skorygować swoją postawę. Czas napisać coś bardzo dobrego o naszym sporcie.

Moc Kubańczyka

Zakończyły się rozgrywki ligowe w siatkówce. Ich poziom był fantastyczny, a rozstrzygnięcia zaskakujące, co zawsze podnosi emocje, niezależnie od tego, któremu zespołowi się kibicuje.

Wśród mężczyzn mistrzem został klub LUK Lublin. Założony został co prawda w 2013 r., ale przez kilka lat nikt w ogóle o nim nie słyszał. Pomaleńku i systematycznie piął się w tabelach coraz wyższych szczebli rozgrywek ligowych. Po awansie do PlusLigi już w czwartym sezonie sięgnął po tytuł.

Swoją drogą, Lublin w polskim sporcie wyrasta na potęgę. Mają mistrzostwo kraju na żużlu, teraz także w siatkówce, futbolistów w Ekstraklasie. Nie chciałbym się pomylić, bo nigdy nie byłem dobry z matematyki, ale wydaje mi się, że w siedmiu różnych dyscyplinach miasto znad Bystrzycy ma swoich reprezentantów na najwyższych poziomach rozgrywkowych. Czy na Wyżynie Lubelskiej panuje jakiś nadzwyczajny mikroklimat, czy też przyczyn należy szukać gdzie indziej?

Prezydent Lublina Krzysztof Żuk nie ukrywa, że miasto pomaga finansowo każdemu klubowi, który znajdzie się w potrzebie. Jednak gdyby całą niezbędną forszę wykladało wyłącznie miasto, jego mieszkańcy chodziliby bez butów. Wyczynowy zawodowy sport na wysokim poziomie jest bardzo drogi.

Od czego jednak są sponsorzy, także ci reprezentujący interesy skarbu państwa? Gwiazda siatkarzy LUK Lublin Wilfredo León musiał kosztować krocie. Wszak zanim przyszedł do Lublina, cieszył się opinią najlepiej opłacanego siatkarza na świecie. No, ale nie na darmo w pełnej nazwie klubu znalazł się sponsor: wysoce dochodowa kopalnia węgla Bogdanka.

Polak z kubańskim rodowodem, czy też – jak kto woli – Kubańczyk z polskim obywatelstwem, odplacił się Lublinowi z nawiązką. Nie tylko poprowadził zespół do mistrzostwa, ale przy nim wyrosło kilku młodych siatkarzy, którzy zapewne sami nie przypuszczali, że mogą grać aż tak dobrze. Przy okazji skorzystano we wszystkich miastach, w których gra PlusLiga. Jeśli tylko przejeżdżał tam LUK Lublin – hale wypełniały się do ostatniego płatnego miejsca, bo wszyscy chcieli oglądać Leona i spółkę przy robocie.

Za darmo nie przeniósł się z Gorzowa do Lublina pięciokrotny indywidualny mistrz świata na żużlu Bartosz Zmarzlik. Legendy krążyły wśród dziennikarzy sportowych o tym, że prócz maszynowego (ulubione słowo Donalda Tuska) kontraktu, kuszono go wożeniem z domu śmigłowcem na mecze i treningi w Lublinie. Z tego co wiem, jeździ mikrobusem, ale kółka kręczone na lubelskim torze na pewno mu się bardzo opłacają. Na niemal każdym elemencie stroju nosi emblemat Orlenu, a pełna nazwa lubelskiego klubu to Orlen Oil Motor.

Żółci na wysięgnikach

W sporcie tak często powtarza się formułkę, że pieniądze to nie wszystko, aż nabrała ona cechy nic nieznaczącego komunału. W Lublinie rzeczywistość są duże pieniądze na sport, ale to nie wszystko. Wystarczy popatrzeć, jak mieszkańcy ósmego co do wielkości miasta Polski kibicują swoim zawodnikom. Piłkarze Motoru, klubu należącego do jednego z najbogatszych Polaków Zbigniewa Jakubasa, mogą liczyć na doping ok. 30 tys. kibiców w każdym meczu. Nie różnią się bardzo od innych, nie są ani lepsi, ani gorsi, choć o jakichś wielkich aferach nie słyszałem. Mają „zgódę” z kibicami Śląska Wrocław, ale okazji do spotkań nie będą teraz mieli, bo Śląsk (jeszcze aktualny wicemistrz Polski) spadł właśnie z Ekstraklasy.

Na mecze siatkarzy przychodziłoby jeszcze więcej ludzi, gdyby mieścili się w starej hali. Bilety w internecie rozchodziły się w kilka sekund po rozpoczęciu sprzedaży. Prezydent Żuk mówi coś o nowej hali, ale nie znam szczegółów. Po zdobyciu mistrzostwa przez LUK ludzie nie chcieli wychodzić z hali, wiwatowali, płakali ze wzruszenia, później świętowanie przeniosło się na ulice i trwało niemal do rana. Nic dziwnego, mistrzostwo okrzyknięto historycznym, drużyna siatkarska z Lublina odniosła taki sukces po raz pierwszy w historii.

Kibice żużla w Lublinie daliby się pokroić za swoich rajderów. Jeżdżą za nimi na inne stadiony, zajmują wszystkie miejsca przeznaczone dla gości. Z Lublina wszędzie mają daleko, bo ten sport na ekstraligowym poziomie uprawia się głównie na zachodzie kraju. Jako miłośnik żużla oglądam systematycznie Ekstraligę i nie przypominam sobie jakiegoś nieprawidłowego zachowania ubranych na żółto kibiców Motoru.

Pamiętam za to znakomicie czasy pandemii, gdy zamknięto dla widzów wszystkie stadiony. Wokół obiektu Motoru wyrastał las podnośników. Złaknieni widowiska sympatycy lubelskiego klubu wynajmowali je i spoza korony stadionu patrzyli na zawody. Na żadnym innym obiekcie tego nie widziałem; ktoś mi tłumaczył, że „żółci” byli w uprzywilejowanej sytuacji, bo teren wokół stadionu należał do prywatnej osoby i można było go wynająć, ale jestem pewien, iż gdyby było inaczej i tak znaleźliby sposób, żeby kibicować swoim.

Krótko mówiąc: w Lublinie stworzono znakomitą atmosferę dla wyczynowego sportu. Co z tego wyniknie – trudno przewidzieć. Czy znajdzie to przełożenie na sport szkolny, czy kluby zaczną wychowywać swoją utalentowaną młodzież, czas pokaże. Mam nadzieję, że tak.

Sprzątanie w szatniach

Wracam do siatkówki, ale w kobiecym wydaniu. I tutaj mamy dość niespodziewane zwycięzynie ligi. Siatkarki klubu DevelopRes po pięciu kolejnych srebrnych medalach mistrzostw Polski sięgnęły wreszcie po złoto. Wcześniej wygrały Puchar Polski. Był to więc dla nich znakomity sezon. Jako zasiedziały w fotelu telewizz oglądałem niemal wszystkie ich mecze, zawsze z przyjemnością.

Zawodniczki poprowadził do sukcesu francuski trener, który z męską reprezentacją Polski zdobywał mistrzostwo świata, Stéphane Antiga. Już wiadomo, że odejdzie z klubu, mówi się, że do Lublina, gdzie zastąpi Włocha Massimo Bottiego, ten z kolei ma przenieść się do Rzeszowa, ale do męskiej drużyny. Ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły, muszę opierać się na plotkach.

Inna sprawa, że ani Antiga, ani Botti nie prowadzili swoich drużyn przez cały mistrzowski sezon. Wystąpili w roli – jak to się w sporcie mówi – ratowników. W obu klubach doszło do konfliktów dotychczasowych trenerów z zawodnikami i – znów posłużę się popularnym w sporcie powiedzeniem – ktoś musiał w szatniach posprzątać.

Jeśli chodzi o zatrudnianie trenerów zza granicy, nie ma w naszych ligach ograniczeń. Inaczej sprawa ma się z zawodniczkami i zawodnikami. Na parkiecie mogą grać jednocześnie trzy osoby z obcymi paszportami. Nie za bardzo podoba mi się ten przepis, choć rozumiem, dlaczego został wprowadzony: nasze najwyższe ligi mają przygotowywać zawodniczki i zawodników dla reprezentacji Polski. Ja uważam, że nie tylko w siatkówce, ale i w innych dyscyplinach powinni grać wszyscy najlepsi, których zdołają zaangażować kluby. Chodzi o poziom rozgrywek.

W żużlu – znów wracam do mojej ulubionej dyscypliny – w Ekstralidze musi jeździć dwóch polskich juniorów i polski młodzieżowiec. W efekcie dla najlepszych cudzoziemców pozostaje mało miejsca. Młodzież niech najpierw próbuje sił na niższych szczeblach rozgrywek. Na szczęście uczyniono pierwszy krok i od przyszłego sezonu młodzieżowiec w speedwayu będzie mógł się legitymować obcymi papierami. Zobaczycie, że nasza Ekstraliga – a jest to bezdyskusyjnie najlepsza liga świata – będzie jeszcze ciekawsza.

W siatkówce nie ma szansy na zliberalizowanie przepisu o cudzoziemcach, choć za granicą w innych ligach tak się dzieje. Prezes Polskiego Związku Piłki Siatkowej Sebastian Świderski na to nie pozwoli. W życiu nie odważyłbym się na dyskusję z tak wybitnym działaczem, mającym za sobą również wybitną karierę zawodnika. On dba o całą dyscyplinę. Musi mieć rację. W futbolowej Ekstraklasie nie ma takich ograniczeń, w ostatnim meczu Radomiaka grał jeden Polak, a jaki mamy futbol, każdy wie.

Coś dobrego z USA

Siatkówka może u nas stanowić wzór dla innych dyscyplin. Wszyscy zazdroścą jej choćby systemu szkolenia młodzieży. Polskę podzielono na cztery okręgi, toteż żadne utalentowane i chętne do treningów dziecko nie powinno wymknąć się z zarzuconej sieci. Najlepsi trafiają do szkół mi-



strzostwa sportowego, do ligi i dalej, aż do kadry narodowej.

Wściekają się trenerzy koszykówki i piłki ręcznej, bo najbardziej usportowione dzieciaki są zabierane do siatkówki. Sami sobie jesteście winni. Trzeba było zbudować taką samą modę na swoje gry,

jak udało się Świderskiemu – jego poprzednikom niczego nie ujmując. Nasza reprezentacja zdobyła srebrny medal olimpijski, a z poziomem i popularnością polska piłka siatkowa może się równać jedynie z turecką i włoską. Do tego grona należeli też Rosjanie, którzy jednak ze względu na agresję ich kraju na Ukrainę zostali wykluczeni z wielkiego sportu i nie bardzo wiadomo, jaki obecnie prezentują poziom.

Co ciekawe, siatkówka nie narodziła się ani w Polsce, ani w Turcji, ani we Włoszech, ani w Rosji. Nie każdy wie, że siatkówkę, czyli bardziej oficjalnie: piłkę siatkową, wymyślił w 1895 r. William G. Morgan, nauczyciel wychowania fizycznego YMCA (Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) w stanie Massachusetts. Reguły nie są skomplikowane. Przy pomocy dowolnej części ciała, najczęściej ręki, ale

używać można nóg, głowy, barków czy choćby pleców, należy odbić piłkę tak, aby znalazła się na polu przeciwnika i tam uderzyła w boisko. Ma się do tego trzy próby, każda następna jest błędem i punkt przyznaje się rywalom.

Siatkówka, podobnie jak koszykówka – inny amerykański wynalazek mający zachęcać młodzież do aktywności fizycznej i odciągający od niemoralnego spędzania wolnego czasu – szybko zrobiła karierę. Światowa Federacja Piłki Siatkowej (FIVB) powstała zaraz po II wojnie światowej, a wśród założycieli znalazła się Polska. W ogóle początkowo to na naszym kontynencie piłka siatkowa zdobyła serca zawodników i kibiców, znacznie później dotarła do Ameryki Południowej (Brazylia i Argentyna), oraz Azji (Iran) i Afryki Północnej (Tunezja). W swojej ojczyźnie, Stanach Zjednoczonych, nie zrobiła się ligi zawodowej, a najlepsze zawodniczki i zawodnicy występują za pieniądze w Europie, także w Polsce.

W USA działają ligi akademickie, w których nie płaci się gotówką, ale dyplomem wyższej uczelni. Poziom tych lig jest wysoki, o czym świadczy duża liczba amerykańskich zawodniczek i zawodników w europejskich drużynach, ale także wyniki reprezentacji USA.

Podobno ostatnio wystartowała w USA liga zawodowa, ale tylko żeńskiej siatkówki. Nie wiem nic bliższego na ten temat. Jeśli rzeczywiście za oceanem ruszy na dobre zawodowa liga i znajdą się na nią odpowiednie pieniądze, ruch dotychczas jednostronny może się zmienić i Europejczycy zaczną wyjeżdżać do Stanów.

No, chyba że ekscentryczny prezydent USA Donald Trump zamasyżystym podpisem na dekrete zakaże rodakom grać za granicą, bo uzna, iż powinni zostać w domu, żeby zrobić Amerykę znów wielką.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta

Autorzy:
Przemysław Œwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski,
Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Micińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 21.05.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Rafał Trzaskowski nagle się ocknął. Poczuł, że coś jest nie tak. Nie ma na sobie piżamy, nie leży w łóżku, a prawą rękę trzyma w naczyniu wypełnionym czymś ciepłym. Co to za naczynie?

Nocnik...

– Dobrze, że się obudziłeś – powiedziała szefowa sztabu wyborczego, która od ogłoszenia wyników pierwszej tury wyborów, tak jak inni sztabowcy Trzaskowskiego, przestała posługiwać się własnym nazwiskiem.

– Dlaczego spałem? – zapytał kandydat, ostatnia nadzieja polskiej demokracji.

– Bo jesteś wykończony – odparł młody stażem i wiekiem bezimienny poseł Platformy Obywatelskiej.

– Kampania wyborcza tak mnie wykańcza – westchnął Trzaskowski.

– Już niedługo... – pocieszyła go szefowa sztabu.

– Niech to się wreszcie skończy – jęknął kandydat.

– Bez względu na to, jak to wszystko się skończy, będziesz prezydentem – zażartował starszy poseł Platformy, ten, który zamawiał badania w sondażowniach i do niedawna zapewniał, że przewaga Trzaskowskiego nad Nawrockim jest bezpieczna jak granica wschodnia.

– Wiesz, gdzie to mam? – zapytał kandydat.

Wszyscy wiedzieli. Nikt nie odpowiedział.

– Mam wyniki najnowszego sondażu – ucieszył się starszy poseł. – Wygląda na to, że masz przejebane.

– No raczej – dodał młodszy poseł.

– Ale nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być lepiej – orzekła szefowa sztabu, a potem zaczęła się zastanawiać na sensem swojej wypowiedzi.

– Albo gorzej... – dodała.

W odpowiedzi Trzaskowski poruszył ręką w nocniku.

– Skoro już się obudziłeś, to może wybierzesz się na marsz? – zainteresowała się szefowa sztabu.

– Jestem wykończony – ziewnął kandydat, któremu powieki ciążyły jak poczucie winy za nieudaną kampanię.

– Musisz wstać! – Starszy poseł wezwał kandydata do czynu. – A dalej już jakoś pójdzie.

– Obudźcie mnie za pół godziny – poprosił Trzaskowski. – Zdrzemnę się jeszcze, a wy weźcie to i wynieście.

Sztabowcy rzucili się do nocnika.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN jest rozrywana po kampanii.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciła z urlopu i musi trochę odpocząć.

Wołk-Łaniewska: – Cieszysz się?

Joanna Senyszyn: – Bardzo, bo choć liczyłam na więcej, to ponad 200 tys. głosów i kolejne 250 tys. fanów wśród nastolatków jest wspaniałą prognozą na przyszłe wybory. Wśród młodych miałam poparcie ponad 3 proc.

– A seniorzy cię nie poparli? Pamiętasz, że nazwałam cię samobieżną bronią przeciw ejdżyzmowi...

– 60+ podzieliło się między Trzaskowskiego i Nawrockiego. Ponadto cieszy mnie, że teraz mam jeszcze więcej zaproszeń do mediów niż w czasie kampanii, a na ulicy i w redakcjach wszyscy chcą się ze mną fotografować. Widocznie czują, że ich kocham i że kontakt z nimi podnosi mnie na duchu. Posłuchaj, jaki list dostałam od młodego człowieka: „Dzięki Pani zaangażowaniu, klarownie prezentowanym ideom oraz autentyczności, ja – jako 24-letni mieszkaniec Bydgoszczy – po raz pierwszy od dawna poczułem, że mam na kogo z pełnym przekonaniem oddać swój głos. To dla mnie osobiście bardzo wiele znaczy i przywróciło mi wiarę w możliwość pozytywnej zmiany”.

– Przywróciłaś człowiekowi wiarę w człowieka. Brawo.

– Ty sobie dworujesz...

– Bynajmniej. Wiedziałam te tłumy, które cię fetowały na Zbawixie. Większość na pewno nie ma jeszcze prawa głosu, ale byłaś dla nich pierwszym bezpośrednim, budzącym entuzjazm zeknięciem z polityką. Lewicowia! To ważne tym bardziej, że generalnie nie były to dobre wybory, jeśli spojrzymy na to na osi lewica – prawica.

– To niestety dość przerażające: że co piąty Polak jest albo antysemitą, albo wrogiem Unii Europejskiej, albo jest przeciw uchodźcom i LGBT+, albo oburza go prawo kobiet do samostanowienia...

– Albo odczuwa erotyczne podniecenie na myśl o wolnym rynku. To chyba z tego wszyst-

kiego najgorsze – acz jest to choroba, z której się z latami wyrasta.

– W odróżnieniu od antysemityzmu...

– Akurat w sprawie Brauna ja mam mieszane uczucia. Prawda, jest świrem, do tego dość nieestetycznym, ale jest też potrzebnym wen-

tylem. Urban napisał kiedyś w kontekście antysemickich wybryków któregoś z oszalałych prawaków w latach 90., że jest całym sercem za tym, żeby danemu światu pozwolić mówić to, co myśli. Bo gdyby Hitler w 1933 r. powiedział szczerze, że będzie prowadził wojnę na dwóch frontach i zamorduje 6 mln Żydów, jego szanse na zwycięstwo wyborcze byłyby wybitnie zmniejszone. Kiedy Braun ma wolność słowa, my wiemy, z kim mamy do czynienia. I jaka jest skala zjawiska. Wiedza to władza.

– Interesujący punkt widzenia...

– Prawda? Ale żeby nie było, że jestem za bezwzględną wolnością słowa, mam też lingwistyczną inicjatywę ustawodawczą: proponuję wprowadzić doraźną karę śmierci dla każdego żurnalisty i innego – za przeproszeniem – eksperta, który zada pytanie: „komu pani przekaże poparcie”.

– To rzeczywiście jest głupie pytanie – wyborcy kierują się własnym rozumem i własnym sercem. Ale nie sądzisz, że czała to trochę za surowa kara?

– Nie. Bo tu już nie ma miejsca na karę poprawczą ani reedukację. Od 35 lat mądrzy ludzie tłumaczą ciulom, że jest to wyrażenie tyleż nietrafne, co obelżywe i po prostu idiotyczne, podważające sam sens demokracji reprezentatywnej. Przekazała to można pół litra, jak się kupi dwie butelki na melinie, a sąsiadowi zabraknie... Strasznie mi głupio, że stoję w tym szeregu z Mentzenem i Zandbergiem, którzy obydwaj oprotowali tę formułę...

– Im pewnie jest znacznie bardziej głupio, że stoją ze sobą.

– Tak, to mnie nieco pociesza. Ale serio: to są ósme powszechne wybory prezydenckie w tzw. wolnej Polsce. Oraz w moim aktywnym życiu politycznym, wstyd powiedzieć. Wszystkie, z wyjątkiem tych w 2000 r., miały dwie tury. I za każdym razem jest mówione, że wyborcy to nie towar, i za każdym razem każdego dnia słyszę w telewizjach i czytam w internetach, że ten czy ów „nie przekazał poparcia”, a powinien i czy jeszcze komuś przekaże... A propos: komu przekażesz poparcie?

– Wyniosłem przechodząc do porządku dziennego nad twoim prowokacyjnym sformułowaniem, wyjaśniam. Spisałam otóż Piątkę Senyszyn.

– Aż się boję zapytać.

– Niepotrzebnie. To jest pięć kwestii, które będą dla mnie kluczowe przy podejmowaniu decyzji o tym, na kogo zgłoszę. Aborcja do 12. tygodnia ciąży, równość małżeńska, a przynajmniej związki partnerskie dla LGBT+, przyjazna polityka pieniężna, czyli niskie stopy procentowe, uzdrowienie mediów publicznych i koniec z koryciarstwem. Tyle.

– Mam pewien problem ze zwizualizowaniem realizacji dwóch ostatnich punktów, biorąc pod uwagę, że skok na media i na spółki to pierwszy ruch każdej władzy i nikt tu się nie hamuje, ale niech będzie.

– Niech! Tak zarządzam ja, Imperatorka. I jeszcze raz serdecznie dziękuję za pomoc, głosy, sympatię i całe dobro, którego od Was doświadczam. Niech moc zawsze będzie z nami!

– To ja jeszcze dorzucę mój ukochany komentarz z twojego Instagrama: „Imperator Senyszyn to najlepsze, co spotkało nasz naród w 2025 roku”. Podpisane: Zarłacz ludojad. Zawsze mówiłam, że rekiny to piękne, dumne, szlachetne zwierzęta, w odróżnieniu od zbroków delfinów, które uprawiają gwałty zbiorowe i seks nasalny oraz dla rozrywki mordują małe foczki.

– Seks nasalny? Nie, w zasadzie to nie chcę wiedzieć.

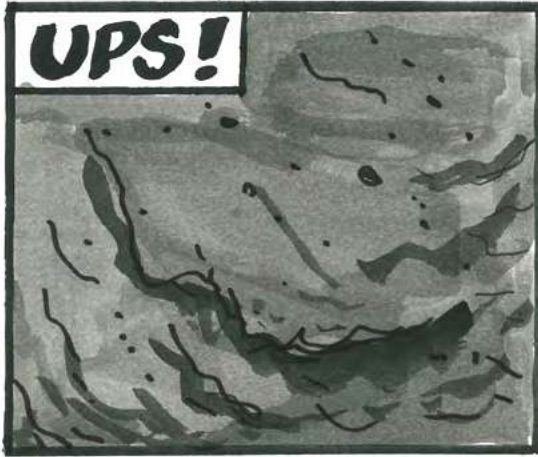
– I tak ci opowiem. Acz może za tydzień. Razem z historią o potrawce z krokodyla w Zatoce Świń.

– Nie mogę się doczekać.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

Rys. MIROSLAW HAJNOS

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI